

GRUDZIEŃ

Nr. 140

cena **1** zł



NA OKOŁO ŚWIATA



ZNACZKI POCZTOWE DO ZBIORÓW posiadamy wielki wybór znaczków starych i nowości po cenach niskich. Specjalny katalog i album do znaczków polskich. Dział numizmatyczny. Kupujemy znaczki pocztowe i monety.

DOM FILATELISTYCZNY

A. PACHOŃSKI WARSZAWA, UL. JASNA 18
róg Świętokrzyskiej, naprzeciw P. K. O. Tel. 657-68

Przy wszelkich zapytaniach znaczek na odpowiedź. Cennik za nadesłaniem 30 gr. znaczkami pocztowymi.

Kuracja ziołami

Magistra WOLSKIEGO

jednocy w sobie tradycję wieków i zdobycze wiedzy współczesnej

STOSUJE SIĘ:

PRZY CIERPIENIACH WĄTROBY,

woreczka żółciowego, kamicy żółciowej i żółtacze. Zioła ze znak. „BILLOSA”, które zawierają egzotyczne rośliny Combretum i Boldo.

PRZY OTYŁOŚCI

na tle wadliwej przemiany materji. Zioła ze znak „DEGROSA”, które zawierają jod organiczny w roślinie Yahanga i nie wymagają specjalnej diety.

PRZY BEZSENNOŚCI,

nerwicy serca i zaburzeniach układu nerwowego. Zioła ze znak. „PASIVEROSA”, które zawierają kwiat Młeki Pańskiej (Passiflora inn.).

PRZY KASZLU

zaległemu, ciężkości i duszności w pierśiach i wszelkich cierpieniach płuc. Zioła ze znak. „PULMOSA”,

które zawierają Schin-Schen rzadką roślinę chińską.

PRZY OBSTRUKCJI CHRONICZNEJ,

zaburzeniach żołądkowo-kiszczkowych i do uregulowania trawienia. Zioła ze znak. „GASTROSA”.

PRZY CIERPIENIACH NEREK, PĘCHERZA,

miedniczek nerkowych i wszelkich dolegliwościach dróg moczowych. Zioła ze znak. „UROSA”, które zawierają roślinę indyjską Ortosiphoria.

PRZY ARTRETYZMIE, REUMATYZMIE

i bólach ischiasu Zioła ze znak. „REUMOSA”, które zawierają roślinę Schin-Schen.

Do nabycia w aptekach, składach aptecznych lub w wytwórni.

Magister WOLSKI, Warszawa, Złota 14, tel. 263-05

Obiaśniające broszury wysyła bezpłatnie wytwórnia.

CZŁOWIEK INTERESU

POWINIEN CZYTYWAĆ

WYDAWNICTWA GOSPODARCZE, A WSRÓD NICH
PRZEDWZYSTKIEM

TYGODNIK HANDLOWY

ORGAN STOWARZYSZENIA KUPCÓW POLSKICH

WYSTARCZY KILKA SŁÓW NA POCZTÓWCE, A NUMER
OKAZOWY BĘDZIE NIEZWŁOCZNIE WYSŁANY

WARSZAWA, UL. ZIELNA 50 — TELEFON 545-36



POLSKIE BIURO PODRÓŻY ORBIS

zaprasza na przyjemne i tanie

WYCIECZKI NA BOŻE NARODZENIE

jedno i dwutygodniowe

Do Łotwy i Litwy

Do Sinaia w Rumunii

Do Wiednia — z wycieczkami w góry austriackie

Do Berlina — drogą lotniczą z Warszawy i z Poznania

Do Paryża i do Londynu

Specjalne programy świąteczne

Zapisy we wszystkich placówkach Orbisu

Wody mineralne w kuracji domowej

Co mają czynić osoby cierpiące na choroby przemiany materji, jeśli nie mogą lutem wyjechać na kurację? Mogą skutecznie przeprowadzić leczenie domowe naturalną wodą z właściwego źródła. Największą zaletą tej kuracji jest możliwość stosowania jej przez cały rok. Działanie wód mineralnych polega na przepłukiwaniu tkanek i usuwaniu z nich substancyj trujących. Zrozumiałe jest, że jedynie stosowanie wód naturalnych może dać pożądaný skutek. Już szklanka gorącej wody alkalicznej, naturalnej wywołuje u cukrzycowych obniżenie ilości cukru we krwi, wypłukuje szybko kwas moczowy u artretyków, reguluje nadmiar kwasoty żołądka i t. d. Podobne efekty, przy mniejszym nakładzie kosztów, uzyskuje się również przez stosowanie tabletek COMPRIMES VICHY-ETAT.

To działanie alkalizujące wytwarza równowagę między kwasami i zasadami, co jest warunkiem podstawowym przy zwalczaniu wielu chorób.



Szron

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

Zbliża się zima — okres najcięższy pod każdym względem. Jeśli chodzi o utrzymanie piękności, daje się nam ona bardzo dotkliwie we znaki, zarówno bowiem deszcze i wiatry, jak też i mrozy wpływają fatalnie na naskórek. Oczywiście przede wszystkim cierpią ręce, ponieważ są najwięcej narażone na wpływy atmosferyczne. Pod wpływem deszczów, wiatrów i mrozów skóra rąk staje się czerwona, chropowata, a często nawet pęka lub ulega odmrożeniom. Jest to zarówno bolesne, jak i nieprzyjemne, bowiem o ile biała i delikatna ręczka wygląda ładnie, o tyle czerwona i chropowata robi wrażenie niemiłe i nieestetyczne. Toteż panie radzą sobie, jak umieją, by zachować ręce podczas zimy w możliwie dobrym stanie, używając w tym celu najrozmaitszych preparatów, zawierających przeważnie glicerynę, a nierzadko nawet samej gliceryny. Tymczasem skutek jest wręcz przeciwny do zamiarów — gliceryna bowiem, choć chwilowo ręce wygładza, czyni je czasem żółte i pomarszczone. Co więc należy czynić?

Pod tym względem przychodzi nam z pomocą znana warszawska firma „PERFECTION“, której słynny już dziś KREM PRALATÓW, sporządzony według recepty chemika francuskiego Ponsarda, działa momentalnie, wygładzając i bieląc najbardziej nawet popękane i czerwone ręce i skutecznie zapobiegając odmrożeniom. Krem ten jest szczególnie godny polecenia dla pań, zajmujących się gospodarstwem domowym, które niejednokrotnie podczas dnia muszą myć ręce. Jeżeli po umyciu rąk wetrzemy w nie troszkę KREMU PRALATÓW, możemy od razu nawet wyjść na mroź bez obawy o popękanie lub zaczerwienienie naskórka. Przy stałym użyciu tego środka, bez względu na wykonywaną pracę i warunki atmosferyczne, zachowamy zawsze, do późnej starości, białe, delikatne i wypięszone ręczki.

M-me Erçodes

TREŚĆ NUMERU

PRZYGOTOWANIA DO GWIAZDKI	Str. 7
SIELSKIE ANIELSKIE ORZECHOWE, S. Esmanowski	„ 8
MISTRZ I JEGO DZIEŁO	„ 10
PRZYJEMNY DJABEL, ŚREDNIOWIECZA, Grzegorz Timofiejew	„ 12
KLEJNOTY, Wanda Mielżyńska	„ 14
PALMA DE MALLORCA, Jadwiga Rupačka	„ 20
NOWE MEBLE	„ 26
MOTYL, KTÓRY NAS UBIERA, St. Witaczekówna	„ 28
• • • Charles Derennes, przeł. W. Mogilnicki	„ 32
JANINA BOITEL	„ 33
PIERWSZE SAMODZIELNE KROKI	„ 34
TYMON I FROZYNA, Seweryn Pollak	„ 35
LANNY ROSS	„ 39
SPOKOJNE DAWNE DOBRE... CZASY, J-k	„ 40
10 MINUT U LUDZI, KTÓRZY MUSZĄ WSZYSTKO WIEDZIEĆ, Zdzisław Bau	„ 43
CAIL PATRICK	„ 50
DUMA IŁONKI BOCAR, Franciszek Körmenli	„ 51
KSIEŻYC, M. M.	„ 56
PIERWSZY ŚNIEG W GÓRACH	„ 57
START DO WIELKIEGO PRZEMYSŁU, Janusz Makarczyk	„ 58
FORTUNA STANNY SMITHA, John Mc Archie	„ 62
ŁODOLAMACZ, inż. A. Pauly	„ 64
CHIRURGIA PŁASTYCZNA, Dr. Michał Grodzki	„ 68
KŁOPOTY LLOYD GEORGEA	„ 70
W PAŃSTWIE NEGUSA, Emil Theobald	„ 73
ZŁOTKO Z WALLSTREET, Brunon Dzimierz	„ 78

Okładkę projektowali: Andrzej Stypiński i J. Skolimowski

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 522-14
 Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15
 Redakcja we wtorki i czwartki od godz. 12 do 14
 Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką,
 zł. 3 — zagranicą zł. 5.—
 Zeszyt pojedynczy 1 zł.

Rękopisów i fotografii niezamówionych redakcja nie zwraca

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 140

GRUDZIEŃ 1935



PRZYGOTOWANIA DO GWIAZDKI



SIELSKIE ANIELSKIE ORZECHOWE

○ przyszłości marzy się błękitnie-migdałowo; przeszłość, dzieciństwo wspominam sielskie, anielskie-orzechowe. O, ile dwa pierwsze określenia są wspólne razem ze mną i Mickiewiczowi, o tyle ostatnie jest już mojem oryginalnem odczuciem. Kiedy w pierwszych dniach grudnia na placach Warszawy wystrzelają lasy choin, w myślach mych zarysowuje się obraz orzechów, ale kiedy patrzę na orzechy, przychodzi na pamięć wspomnienie rodzinnego domu, świąt w rodzinnym gronie, co się tak rychło rozproszyło: jarzą się przez aniołków przynoszone choinki; pachnie mi żywicą, rybą zupą, makiem, kompotem ze śliwek i wszystkim dwunastoma (obowiązkowo!) potrawami przedwojennej wily.

Dlaczego wspomnienia Bożego Narodzenia skojarzyły mi się nierozdzielnie z orzechami — nie wiem; a tem mniej mogę pojąć tęskny sentyment, jaki przy ich wspomnieniu występuje. Bo właściwie do tych orzechów nie miałem szczęścia; ilekroć usiłuję skonkretyzować jakieś związane z nimi zdarzenie, tyle razy okazuje się, że pociągalo ono za sobą nie najweselejsze skutki.

Istnieje, albo przynajmniej istniała w czasach przed Komisją oceny książek dla młodzieży, powiastka o tem, jak skradający się w nocy rabuś nadeptął na skorupkę orzecha; zbudzony trzaskiem pan domu miał czas sięgnąć po rewolwer i ocalić majątek a może i życie.

Książkę z tą powiastką dostałem na którąś tam, jedną z pierwszych w mem życiu, gwiazdek. A że to właśnie były czasy rewolucji, bandytyzmu, rozbojów, więc coś dziwnego, że przez głowinę nabitą odpowiedzianiami o bandyckich napadach przemknęła się „genjalna“ myśl:

— A gdyby tak do nas się zakradli?...

Niezwyklejąc, pobiegłem do sypialni rodziców i skrzętnie zebrane z wigilijnego stołu orzechowe skorupy rozsypałem po podłodze. Mucha nie przeszłaby przez pokój, żeby się o którąś nie potknęła, a coś dopiero złodziej!... Ale starsi, jak starsi w zupełnie niewłaściwy sposób ocenili mą troskę o ich mienie, życie... Poszło mi niewiele lepiej niż bohaterowi powieści Kaczkońskiego, imci panu Nieczui młodszemu, który kota swej ciotki, zacnej a podstarzałej rezydentki, obul w orzechowe skorupki i nocą wpuścił do staropanieńskiej komnatki. Biedna ciocia skonala ze strachu, myśląc, że to duch narzeczzonego, towarzysza pancerniej chorągwi po nią przyszedł i ostrogami łomot o krawędzie łóżka czyni, a imię pan Nieczuja dwadzieścia pięć na kobiercu, ojcowską ręką odlewanych otrzymał.

Z wyjątkiem samego zakończenia historii — ta niesłychanie mi się podobała i miałem gorącą ochotę ją zainscenizować. Nie odstraszał mnie

od tego brak kota, ale niestety żadna z mych ciotek nie chciała zakochać się w husarzu. Już byłem gotów ustąpić i zgodzić się na zwykłego husara, ale były to czasy przedwojenne i wymyślano mnie srodze, że moskiewskiego oficera ciotce-Polee proponuję.

Innych kłopotów nabrała mnie niechęć do dziadka do orzechów. Nie lubilem używać tego tak prymitywnego instrumentu; szukałem sposobów bardziej skomplikowanych. Kiedyś babka mi opowiadała, jak ze swym bratem tłukła orzechy w szparze między drzwiami a framugą: uszło to rodzeństwu płazem gdyż posądzanie padło na domniemanych rabusiów, którzy mieli wywazać drzwi. Chciałem spróbować nowego sposobu... Niestety, matka moja okazała się osobą bardziej doświadczoną od mojej prababki. Pokiereszowane drzwi wyglądzono i wylakierowano, a mnie... mnie tylko, można powiedzieć, wylakierowano. W każdym razie o gladzeniu mowy nie było.

Następnych Świąt różnie smętny epilog miała kreacja Jana III. Zwycięski król, którego rolę objąłem, był przedstawiony w momencie, gdy na wspaniałym bachmacie ratuje pogańskie zastępy, reprezentowane przez orzechy. I rzeczywiście mój ognisty rumak na biegunach druzgotał bez trudu najoporniejszych „janczarów“ t. zw. amerykańskie. Tłukł je na miazgę wbijał skorupy w posadzkę. Lecz zanim zdołałem zebrać łupy wyluskanych ziarn... Nie chcę wspominać... W każdym razie Marysiuśka nie obesła się nigdy tak srogo ze zwycięzcą spod Wiednia.

W parę lat później, już chodziłem w długich portkach pieruszkolasty, zachciało mi się powtórzyć eksperyment Jagienki, która, jak wiadomo, gniotła orzechy przysiadłszy sobie na nich. Przysiadłem i ja kupkę orzechów. Nic. Drugi raz — też nic. Uczyniłem to wreszcie z rozmachem, podskokiem i — skutkiem. Dni następnych nie chciałem siadać wogóle i zastanawiałem się, czyby nie przyjąć miana Rycerza Smutnego Oblicza. Wypadek ten w każdym razie zniechęcił mnie do „ekstraordynaryjnych“ sposobów tłuczenia orzechów i skłonił do powrotu do dziadka.

Później...? Ano później bywały różne orzechy. Miewały coraz twardszą skorupę i coraz chudsze jadra. Zdarzały się wśród nich też „świszaki“, wypełnione w środku zetałym, czarnym próchnem — te były najcieńsze do zgryzienia. Traciło się na nich zęby, ale nie straciłem sentymentu do orzechów mego dzieciństwa, łaskomych, włoskich, „amerykańskich“, które dziwnym trafem stały się dla mnie symbolem wiłji, Bożego Narodzenia, choinki; symbolem na szczęście jeszcze dość ekonomicznym. Będzie więc można marzyć o przyszłości — migdałowej zupie (już nie z niebieskich migdałów) a aktualnie pogryzać orzechy. Kilka rozrzucę w kąty pokoju skrzatom na ofiarę, jak to czynił w Rzymie pan młody, wprowadzając w progi swego domu oblubienicę. Ma to zapewniać bogactwo i płodność.

S. Eszmannowski

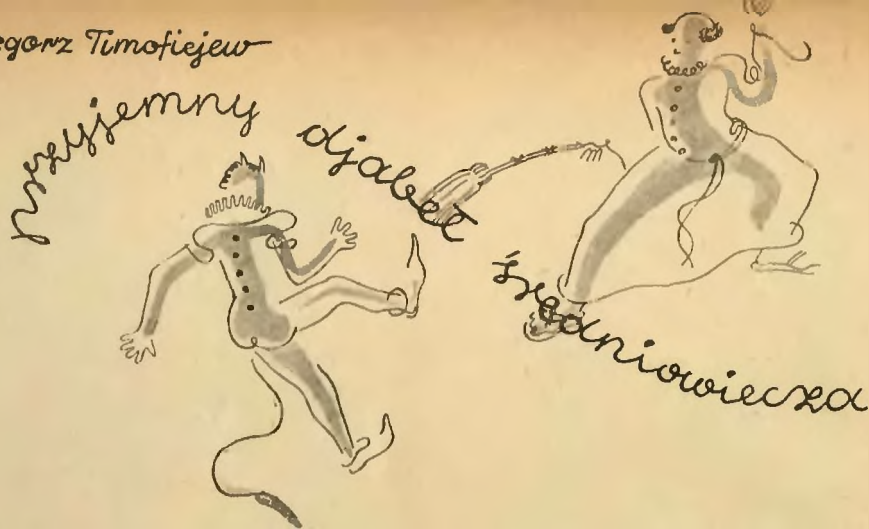




Mistrz...

...i jego dzieło





Utarło się wieki średnie określać jako czasy barbarzyństwa i ciemnoty. Średniowiecze! Prawdziwe średniowiecze! Powrót do średniowiecza! Te słowa stały się niemal obelżywe.

Ciekawe skąd, jakim sposobem powstało takie przekonanie? Niewątpliwie, średniowiecze ma swoje strony ujemne. Ale oto na tle ówczesnego mroku przeblaskują wspaniałe płomienie ducha. Historycy filozofii (m. in. u nas Tatarkiewicz) uwydatniają szczególne walory życia duchowego, gdy chodzi o średniowiecze. Takiej niebotycznej mistyki, jak w tych latach, nie mamy później. Uniwersalizm Tomasza z Akwinu pozostał dotąd formą najbardziej uduchowioną — oczywiście, w sensie chrześcijańskim. A empiryzm średniowieczny Rogera Bacona dał podwaliny do przyszłych nauk. Żywotność filozofii średniowiecza przetrwała wieki. Między innymi w czasach nowożytnych, z tych rzekomo mrocznych otehlani wyprowadza się Kartezjusz. Tak nowożytność czerpie ze średniowiecza. Tyle winniśmy wiekom średnim.

Odpowiedzieć na to można, że tej jasności ducha nie odpowiadała ziemia, zwykły i to dość mroczny w średniowieczu padół, zaludniony czarami i czartami. Tak, ale to znowuż nie jest takie znamienne. Zwykle są szczyty i niziny. Gdy chodzi o czary i czarty średniowiecza, wszelkie wierzenia owocnych ludzi — to miały one w przeciwieństwie do innych okresów historycznych, również zaludnionych djabłami, cechę dość

dodatnią: posiadają względny optymizm. W psychice człowieka średniowiecza i jego światopoglądzie występowały wprawdzie pierwiastki mroczne, pesymistyczne, lecz równoważyła je wiara religijna i zaufanie do wyższych sił dobrych. Oczywiście, człowiek średniowiecza każde zło, na które nie miał rady, przypisywał djabłu. Czy była to plaga głodu, czy epidemia, czy wreszcie ból zęba — tylko diabeł był winien. *Ubique daemon!*

Ale człowiek średniowiecza wierzył w zbawczą potęgę kościoła. Przecież bronili go święci! Literatura tamtych czasów zachowała nam wiele t. zw. dyskusyj między piekłem a niebem na temat, do kogo ma należeć ludzkość. Częstość dyskusji te mają charakter sądowych procesów z powoływaniem się na świadków, cały *corpus juris*, z apelacją. Diabeł przegrywa.

Cóż dziwnego! Gdy adwokatem jest Najświętsza Marja Panna, sędzią — Chrystus, sekretarzem zaś Jan Ewangelista — to taki skład sądu nie wróży zwycięstwa oskarżającemu prokuratorowi czyli djabłu. „Prokurator“ powołuje się oczywiście na grzech pierworodny.

Z punktu widzenia prawnego ma rację. Cóż, kiedy sąd nie wychodzi z założenia prawnego, lecz łaski. Rozzalone „prokurator“ składa apelację na ręce bądź Salomona, bądź Arystotelesa, niestety bez rezultatu. Musi tylko ponieść większe koszty sądowe. Toteż woła oburzony: gdzie sprawiedliwość? Ah! *Qu est justice devenue!* — czytu-

my w poemacie starofrancuskim p. t. „Avocacie Nostre Dame“, opisującym omawiany właśnie sąd.

Nawet w razie zaprzędania się djabłu, człowiek średniowieczny nie traci nadziei. Wystarczy zwrócić się do nieba z aktem skrucchy, a przychodzi dobra odsiecz. O tem traktuje średniowieczna Legenda Aurea, cykl bretońskich poematów, opowieść o Robercie Djable i in.

Oczywiście człowiek średniowieczny bał się diabła. W oczach Tomasza z Akwinu czart rysował się jako czarny olbrzym. Często czart miał trzy twarze, jak na pewnym fresku Giotto, albo w poemacie Dantego. Straszyl, był groźny. Ale obok tego djabeł średniowiecza to figura komieczna, przedmiot pokipiwań i najrozmaitszych żartów. Różne opowiadki średniowieczne dochowały nam cały szereg tego rodzaju dowcipów. Djabeł buduje most pod warunkiem, że pierwszy przechodzień będzie należał do niego. Tymczasem umawiający się mieszczanie nabijają naiwnego diabła w butelkę — wypuszczają na most psa. Albo — djabeł wykłada studentom tajniki czarnej magji pod warunkiem, że ostatni, który opuści audytorjum, pójdzie do piekła. Tymczasem ostatni student, odchodząc, wskazuje na swój cień. Znowu djabeł przegrywa. Charakterystyczną rzeczą dla średniowiecza jest stosunek do czarownicy. Oczywiście, już wtedy wierzono, że potęga zła pęta kobiety. Ale nie było palenia czarownicy, prześladowania kobiet podejrzanych o konszachty z diabłem. Zjawisko to stało się powszechne później — w końcu XV w. i w w. XVI. Władza duchowna, tudzież świecka ostrzegała naogół przed satanistycznymi przesadami. Karol Wielki (pocz. w. IX), dalej Koloman węgierski (w. XII) wydają orędzia, stwierdzające, że wiara w istnienie czarownicy jest tylko pogańskim przesądem, zasługującym na jaknajostrzejsze potępienie.

Natomiast szczególnem źródłem zgrzytów i męk duchowych w średniowieczu była wiara w cierpienia pozagrobowe, wiara w miejsce katuszy, udręki i zgrzytań zębów — *citta dolente*, jak powiada Dante. Do-

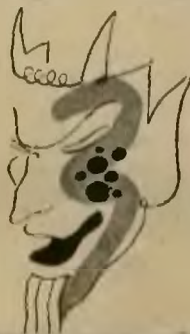
chowane z tych czasów opowiadanie p. t. „Visio Tundali“ zawiera taki właśnie ścinający krew w żyłach opis pozagrobowej męki. Ale nawet gdy nad bramą piekielną widnieje napis: „wehódzający tutaj nie miej nadziei“ — jeszcze jest możliwa interwencja niebios. Literatura średniowiecza zawiera wiele ciekawego pod tym względem materiału. Reasumując wymienionych cech średniowiecza może być „Boska Komedja“ Dantego.

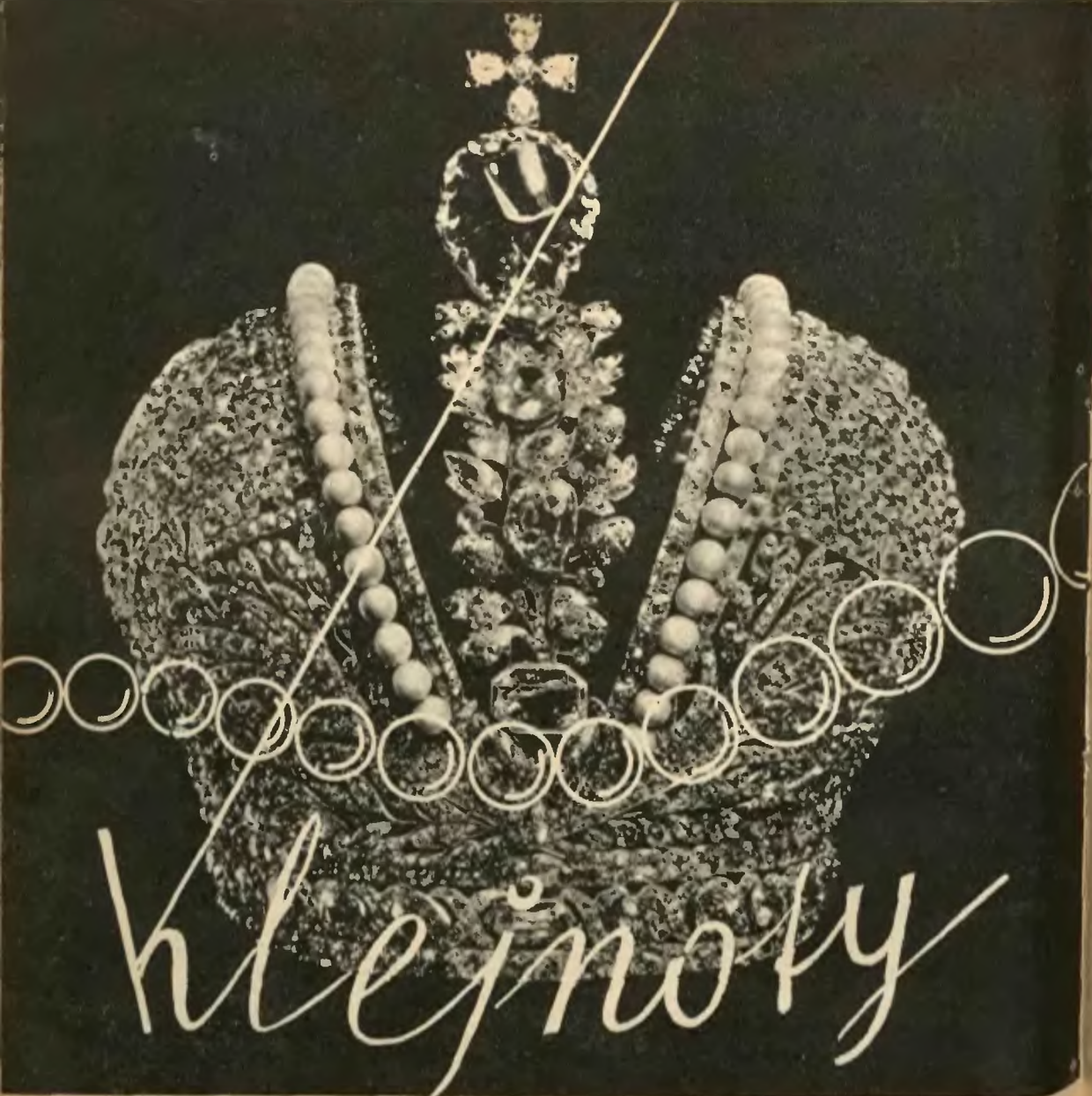
Otóż dlaczego — komedja? Tu właśnie dźwięczy optymizm człowieka średniowiecza. Zrazu kłębią się otchłanie mroku i grozy, krwawe pioruny rozdzierają strwożone ciało wędrującego człowieka, ale u kresu cierpienia widnieje inna sfera, w której panuje prawieczny duch dobra i miłości, obracający niebo i dalekie gwiazdy.

„Nie taki djabeł straszny jak go malują“. Tę sentencję dałoby się odnieść do średniowiecza. Optymizm tamtych czasów tłumaczy się względami psychicznymi, mianowicie silnie rozwiniętym poczuciem wiary religijnej, która piekło równoważyła czyszcem i rajem, zło — dobrem, grzech — zbawieniem duszy. Oczywiście optymistyczna religijność — zdaniem krytyki socjologicznej — znajdowała swe wytłumaczenie w specyficznych warunkach życia.

Pewien dobrobyt, gospodarka naturalna, uniemożliwiająca nazbyt ostrą dyferencjację społeczną, ustrój eechowy, wspierający się na mocnej zasadzie uniwersalizmu — wszystkie te przyczyny składały się harmonijnie na dość pogodne tło ówczesnego życia. Stąd rozdziła się wiara w dobro i w kategorjach religijnych wiara w interwencję niebios, rozjaśniająca psychikę zbiorowości i pojedynczego człowieka.

Czasy ponure i okrutne, które znamy pod ujemną nazwą średniowiecza, miały miejsce później, gdy opisany wyżej porządek społeczny runął w otchłań zagłady. Wtedy to buchnęły płomienie tysięcy stosów. Anioł śmierci zakrył swem mrocznem skrzydłem boską ziemię św. Franciszka z Assyżu.





„Kiedy ich dwoje, pochylając się nad jasnym źródłem, ujrzało po raz pierwszy odbicie swej urody, wtedy w ich sercu zbudziła się chęć podobania. Jeśli więc nanizywać zebrane na wybrzeżu muszelki, jeśli stroić się w barwne pióra, wieniec wieć z kwiatów, zausznice z krasnych zawieszając wisien...”

Z kokieterji instynktownej i nieświadomej zrodziły się klejnoty — świecidełka kunsztowne i bluche; wytwór fantazji i zbytku, ile

można, ile twórczego kosztował wysiłek. Człowiek rozmiłowany w blaskach i barwach, rozsnutych w przyrodzie, ważył się sięgnąć po perły, spoczywające w głębi oceanu, cześciel łoża i ognia wydarł złoto z łona ziemi, posiał przedziwne kamienie, w których uwiecznione drga światło. Późność jego, podziw i pożądanie nadały klejnotom wartość realną. Z biegiem wieków stały się emblematem władzy, symbolem potęgi, drogocennym skarbem, przynoszącym szczęście talizmanem.

Zmieniając się stosownie do wymagań chwili, klejnoty zachowują pewien zasadniczy charakter, w którym krystalizuje się, tak pierwotne jak i wyrafinowane pojęcie piękna. *Zausznice* czyli *koleczyki* — ozdoba dzikich i zażytek barbarzyństwa — znajdują szerokie zastosowanie w cywilizowanych społeczeństwach, w Grecji noszą je niewiasty, w Asyrii wodzowie i wojownicy, w Bizancjum — wszyscy, bez różnicy płci i stanu. Wyeliminowane przez surowy strój średniowiecza w dobie Odrodzenia powracają i podziśdzień triumfują w brylantowych butonach pań wytwornych. *Naramienniki* służące ku ochronie ramię walecznych, przeobrażają się w manele i bransolety. *Łańcuchy*,





które na Wschodzie pętały kroki niewolnic a jeńców przykuwały do rydwanu zwycięzcy, zawieszane na szyi mężów i matron dostojnych, stały się oznaką godności. *Amulety*, pomysłowe i dziwaczne, z zabobonu zrodzone, są prototypem wisiorków, kłanów, naszyjników i breloków. *Tiary* i *korony*, li tylko monarchów wieńczące czoła, przeobrażają się w diademy i przepaski, które niedalej jak w zeszłym stuleciu były uzupełnieniem balowego stroju. *Pierścienie* wreszcie — szlachetna ręka ozdoba — jako symbol wierności i zaufania, głębsze posiada znaczenie. Już Biblia wspomina o zamienianych przez nowożeńców obrączkach. Z żelaznego pierścienia rzymskich rycerzy wywodzi się sygnet herbowy. Faraon razem z nieograniczoną władzą własny pierścień dał Józefowi, to samo uczynił Aleksander Wielki mianując Perdikasa wodzem swej armii. Doża wenecki kosztowny pierścień rzucił w fale Adryjatyku podczas zaślubin swych z morzem. Biskupi pierścienie amuletystowy jest symbolem niezerwalnej łączności z Kościołem.

W Mitrydata mitycznych skarbach, w germańskich sagach o złocie Rennu, żyją tradycje złotniczego kunsztu, którego początki giną w pomroce wieków.

W dolinie Nilu odkryte grobowce królów, zawierają nieprzebrane klejnoty, które mi Egipcjanie, w swym materialistycznym pojmowaniu nieśmiertelności, otaczali zmarłych. Wyroby kruszcowe, złote, trwałe i na czas odporne, oraz srebrne — poszukiwane dla rzadkości owego metalu za pierwszej dynastji, zupełnie niemal zniszczone — posiadają wybitnie symboliczny charakter. Ze skarabaszów barwnie emaljowanych, z lotosów krwa-

więcych się kornaliną, z jaspisowego oka Horusa, z głów jastrzębich w ażurowej oprawie, oraz z skrzydlatych „duszy“, kameryzowanych lapis lazuli i turkusami, wyziera nieustająca troska o byt pozagrobowy, który w krainie sfinksu większą od doczesnego grał rolę.

Feniczne klejnoty, w znikomej jeno zachowane ilości, noszą piętno wpływów egipskich, etruskie natomiast posiadają oryginalny styl i ciekawą technikę, granulację zwaną, w której celował Bevenuto Cellini, mistrz złotniczego kunsztu. Pęzeczki, ptaki, lhy wilecze, rogi obfitości, ujęte w miękkie zaokrąglone linje są odbiciem wrażeń sensytywnych. Mieszkańcy słonecznej Italji, dalecy od metafizycznych spekulacyj, z przyrody brali wzory, w swych tworzywach sławili rozkosz życia.

Wyższa i pod każdym względem doskonałsza jest sztuka Hellenów. Subtelne kamce, figuralne płaskorzeźby, postacie i twarze ludzkie po raz pierwszy stosowane w zdobnictwie, posiadają plastykę i wdzięk niezmierzony. Liście i kwiaty stylizowane tworzą ornamentykę bogatą, przemysłaną, szlachetną w linjach, za klasyczną uznaną. Grecy gardząc nadmiarem klejnotów, cenili jedynie wykonanie a każde dzieło przedziwne tych artystów było objawieniem harmonji i piękna.

Rzymianie przyjęli gotowe wzory greckie, ale ich interpretacje stają się przeladowane i ciężkie. Imperjalizm rozszerzając swe granice ulega wpływom idącym ze wschodu, rozmiłowuje się w okazałości i przepychu. Nawet sandały zdobiono złotymi liśćmi akantu, nawet dzieciom wkładano ze złotych kul naszyjniki. Seneka ubolewa nad rozrzutnością patrycjuszek, które aż trzy cenne perły woszą w uszach. Szmaragdy i perły dochodzą do niezmiernie



wysokich cen. Cezar^o chelpi się posiadaniem perły, za którą 6.000.000 sestersów zapłacił. Neron posiadał wspaniałą szmaragd, o którym Sienkiewicz wspomina w „Quo Vadis“. Ekstrawagancją prześciga wszystkich Kleopatra, gdy podczas uczty wychyla czarę, do której wrzuciła perłę roztopioną w occie.

Styl klasyczny, wypływający z logicznych założeń, opiera się na niewzruszonych kaponach piękna. Inaczej przedstawia się sztuka bizantyjska, łącząca w sobie rozbieżne pierwiastki uciechy chrześcijańskiej i przepychu wschodniego. Szaty w linjach surowe lecz ze złotogłowi, tematy alegoryczne ale skrzące się i jarzące tysiącem drogich kamieni, naszywane karboszonami i perłami. Pod ciężarem klejnotów uginają się dostojnicy, damy dworu ukazują się podtrzymywane przez służebnice. Orientalne poczucie barw i rozmilowanie się w świecidlach i okazłości.

Podczas gdy Bizancjum kostnieje w swej hieratycznej i barbarzyńskiej wspaniałości, Zachód po upadku Rzymu, przechodzi powolną ewolucję. Kunszt złotniczy początkowo uprawiany w klasztorach, służył wyłącznie do liturgicznych celów. Powoli jednak ubiory stają się coraz świetniejsze, zdobią je krzyże na złotych łańcuchach, oraz pasy kruszcowe, sprzączki i klanury. Każdy z tych przedmiotów wykonany jest ze smakiem i starannością, cechującą owe zamierzchłe czasy. Początkowo znane są tylko korale, któremi wysadzano wyroby złotnicze. Podczas wypraw krzyżowych zaczynają napływać szlachetne kamienie — łupy wojenne rycerzy, powracających ze wschodu do domowych pieleszy. Budzą zachwyt i niemal zabobonny podziw. Średniowiecze, utylitarne i przesądne, przypisuje im



cudowne właściwości: rubin goi rany, amethyst chroni od opilstwa, szafir strzeże cnoty niewieściej, karbunkul odpędza nocne mury, chryzolit jedna przyjaciół, topaz usmierza gniew, sardoniks czyni pokój.

Diamant czyli brylant, najtwardszy z minerałów, przynoszący pomysłowość i powodzenie, pojawia się dopiero w XV wieku. Początkowo w małych ilościach i drobny, w miarę doskonalenia się sztuki szlifierskiej — w coraz piękniejszych okazach; zaćmiewa grę światła i kolorów inne kamienie. Niebawem w Amsterdamie powstają szlifiernie po dziś dzień istniejące, rynki zbytu i giełdy brylantów.

Renesans — era zbytku, rozkoszy i sztuki — sprzyja rozwojowi artystycznego rykodzieła; Michał Anioł tworzy wzory, Cellini czeluje. Bramki, noszenia, siatki sypane perłami są zwykłym strojem głowy; ferronieri (gemma na złotym łańcuszku) ozdoby niskiego czoła; kanaki, ferrety, manele jak i pontaly przytzy-

mnijące ciężkie faldy sukien, połyskują kunsztownie rżniętymi kamieniami. Wspaniałością ubioru mężczyźni współzawodniczą z kobietami. Franciszek I Waleczny, zawierający sojusz z Henrykiem VIII, królem angielskim, darzy go cenną mampelą, otrzymuje wzamian naszyjnik kosztowny. Cezar Borgia występuje w karmazynie i złotogłowie, w naszyjniku oszaczowanym na 60.000 dukatów, w pióropuszu, spiętym pięcioma, wielkości ziarnka bobu, rubinami. Koń jego złotem kutą, olśniewa bogactwem rzędu. Suknia Marji Medyceuszki połyskuje 300 brylantami i 34.000 pereł. Koronkowa szata Anny Austriackiej naszyta jest perłami. Nie ustępują im w blasku perły Barbary Radziwiłłówny, ani słynne Klejnoty Zygmunta Augusta. Wesełny strój Zygmunta III Wazy kosztował milion czerwonych złotych.

Polska szesnastego wieku, obok Augsburga i Siedmiogrodu, słynęła ze swych wyrobów złotniczych. W sztuce trybowania, kameryzowania, szmelcowania oraz montowania, zwłaszcza Lwów posiadał biegłych mistrzów, którzy, kojarząc szczęśliwie renesansowe motywy ze wschodnimi, stworzyli własny, oryginalny styl.

Od siedemnastego wieku Francja nadaje styl i modę. Biżuterja, wspaniała i ciężka za Ludwika XIV, w okresie rokoka staje się wdzięcznym kaprysem: konchy, szkiełeczki, girlandy, fantazyjne esy-florety, linie zaokrąglone i miękkie, którym nawrót do wzorów greckich nada niebawem więcej wstrzemięźliwości i harmonji. Kamce, miniaturowe w złotych bransoletkach, brylanty oprawne w ciemno-szafirową emalię, zegareczki malutkie i misterne, tyśiące cacek w stylu Ludwika XVI, są objawieniem smaku, artyzmu i subtelności, które bezpowrotnie zniszczy pożoga dziejowa.

Rewolucyjny Paryż lubuje się w symbolach równości i dewizach braterstwa. Kamienie bańskie w srebro oprawne, głowy Dantonów i Maratów w drzewie rzeźbione, krwawe *à la guillotine* naszyjniki, frygijki, liktorskie różgi i dłonie splecione w uścisku, rozpowszechnione wśród sankiulotów i plebsu, cieszą się uznaniem.

Zmierzch klejnotów nie trwa długo: w dobie Konsulatu powracają w całej swej okazałości, razem z rozrzutnością i parwenjuszowskim zbytkiem. Formy klasyczne, odpowiadające duchowi czasu, krystalizują się w stylu *empire*, który narzuca światu władza wola Napoleona.



Po Wielkiej Rewolucji stają się klejnoty wyłącznym przywilejem kobiet. Cenne spinki lub szpilka w krawacie, pierścienie lub dewizka — oto jedyne dozwolone ozdoby męskiego stroju, podczas gdy drogie kamienie, już nie w nadmiarze, lecz w świetnym doborze, uzupełniają toaletę niewieści. Style francuskie, niewolniczo naśladowane, triumfują w dalszym ciągu. Dopiero u schyłku XIX stulecia, pod wpływem Ruskina, następuje niespodziewany rozkwit sztuki zdobniczej. Dostojny, pełen szlachetnej prostoty w liniach, nowoczesny styl angielski współzawodniczy z niepokojną serpentyną secesji niemieckiej; artystyczne tworzywa Lalique'a zdumiewają fantazją, pomysłowością, zestawieniem barw i bogactwem motywów. Finezyjne platynowe oprawy podnoszą blask szlachetnych i półszlachetnych kamieni, importowanych z Indyj, Brazylii, Caplandu. Kunsztownie rżnięte dormensy i solitery, sznury pereł, z których niejedną życiem zapłacił śmiły nurek, diademy, niegdyś jedynie monarsze głowy zdobiące, stają się udziałem szerokiej warstwy społeczeństwa, w tej erze ogólnego dobrobytu, której kres kładzie wojna.



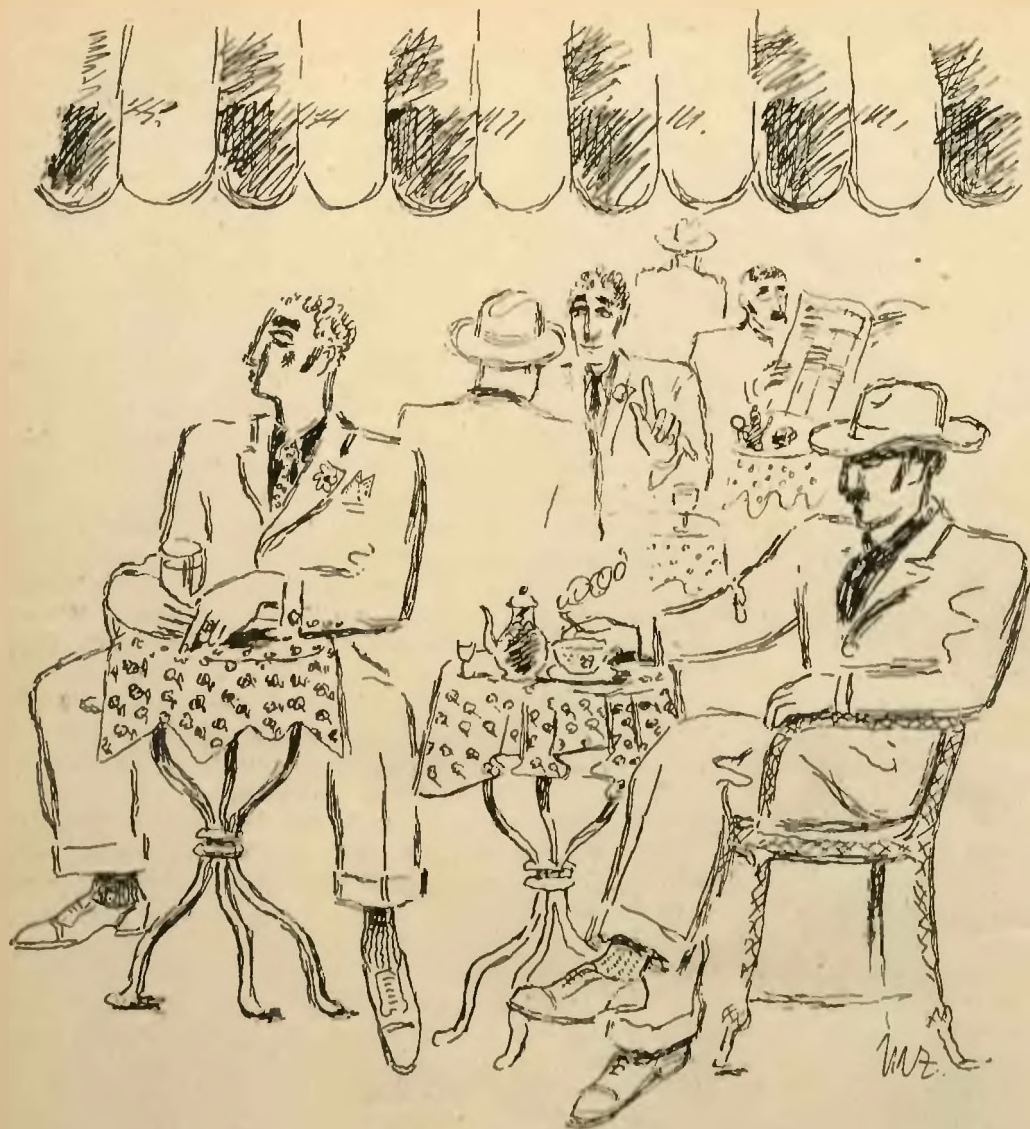
Wschód jest jednak ojczyzną kamieni szlachetnych. Persja dostarczała owych poszukiwanych w Polsce turkusów, o seledynowym odcieniu. Ceylon posiada świetliste szafiry. Tybet kryje czerwone jak krew rubiny. Szmaragdowe żyły żłobią skaliste zręby wyżyn Iranu. W trudno dostępnych strefach Indyj północnych znajdują się złoża najczystszej wody diamentów, którym żadne inne dorównać nie mogą. Stamtąd pochodzą słynne brylanty: 136-karatowy Regent francuski, znacznie większy Orłow, niegdyś carów rosyjskich własność, legendą osnuty Cohinoor, chluba korony angielskiej. Tam istnieją jeszcze prawdziwi znawcy i miłośnicy drogich kamieni, których pałace zawierają istne skarby Golkondy. Maharadża Nepalu lub Bramaputry bez wahania da każdą sumę za niezmiernie rzadki szmaragd bez skazy — tulinżman szczęścia małżeńskiego, dar oblubieńca dla narzeczonej. Kobiety wschodnie wyrzekłyby się raczej życia, aniżeli jednego z owych „cudownych“ amuletów, dla których mają kult zabobonny.

W historii cywilizacji klejnoty odegrały znaczącą rolę; kształtowała je psychika narodów, każda epoka wycisnęła na nich odrębne piętno. Dziwne ich losy splatają się z ludzkimi losami. Opromienia je blask fortuny lub zaćmiewa opar krwi i zbrodni. Jedne przynoszą szczęście, stają się uczestnikami potęgi i władzy, inne, złowieszcze, wywołują groźne perturbacje, ściągają niepożądane wypadki, jak błękitne brylanty Marji Antoniny, które podczas katastrofy „Titanica“ pochłonięte miał ocean. Długowieczne i trwałe, przechodzą z rąk do rąk, doznając zmian kolei, towarzyszą ludziom w powodzeniu, opuszczają w niedoli.

Dziś klejnoty stały się przeważnie własnością wielkich koncernów amerykańskich. Ukryte w kasach ogniotrwałych, oczekują swych dalszych przeznaczeń. Kryzysowy świat powojenny stracił się w syntetyczne brylanty, w perły Tekla, w rekonstruowane rubiny i inne więcej lub mniej udane imitacje.

A jednak zubożałej Europie śni się i roi tajemnicza kraina Ofir, skąd król Salomon czerpał nieprzebrane bogactwa. Złoto lśni się jak dawniej i zawsze tę samą budzi pożądliwość. Urok drogich kamieni trwa.

Wanda Mielżyńska



Palma de Mallorca

Och jak trudno spać w tem mieście! Życie w Hiszpanji zaczyna się dopiero gdy noc zapada. Jak nietoperze, sowy, myszy — lubią majorkińcezy grasować w ciemności. O dziewiątej wieczorem mężczyźni idą się golić; cały dzień wa-

łęsali się ze szczecią na policzkach, w koszulach bez kołnierzyków, w tym specjalnym uniformie z popielatego płótna, czy drelchu, kroju raczej pi-dzamy, niż ubrania.

Kawiarnie też o tej porze pełne —

pełne tylko mężczyzn. Mężczyzn w wieku poborowym, starcy, kobiety i dzieci zostały w domu. To znaczy — wolno im o wieczornym chłodku usiąść *przed domem*. Wytaszczają na trotuar krzesła i bujające fotele (o tej godzinie lepiej chodzić po jezdni, bo trotuary są wąskie). Zakochane pary też siedzą na krzesłkach przed domem; matka przy nich. Majorkińska matka do dnia ślubu młodych nie zostawi sam na sam.

Dzieci nie są przyzwyczajone kłaść się spać przed północą. Podniecone, szaleją po chodnikach i promenadach. Są pewnie siebie, bo wiedzą, że je wszyscy kochają. Majorkiński mężczyzna nie tylko spółdzi dziecko, ale je nosi, piastuje, wtyka smoczek do buzi, sprawdza, czy mleko w flaszczyce ciepłe, gdy podrośnie — prowadzi na spacer i weale się tych zabiegów nie wstydzi. A mają tych dzieci zatrzęsienie! Ta rasa napewno nie wyginie.

Gdy uciehną dzieci, radjo, gramofony, śpiewy solowe i zbiorowe, skrzypienie starych tramwajów, huk autobusów, człapanie mułów — rozpoczyna się koncert kogutów. Nigdy nie przypuszczałam, że kogut tak może zatruć życie. Jest ich cztery — w różnych punktach miasta. Gdy jeden się odezwie, drugi odpowiada, trzeci potwierdza, czwarty wtóruje. Potem znowu pierwszy i tak do wschodu słońca. A poduszka taka twarda! Zupełnie się nie ugina pod głową... co może być w tej poduszce? Rano, Catalina o murzyńskich włosach, powiada mi, że wełna. A czemuż innemu może być wypchana poduszka? Senorita może myślała, że gałgany? Nie, nie, to jest porządny hotel, ona może na żądanie rozpruć poduszkę... Przypominam sobie dopiero teraz, jak George Sand pomstowała na majorkińczyków, Szopen też nie mógł spać na wełnie. A gdy im jakiś znajomy przysłał w prezencie gęś, to tłum krajowców biegł za posłańcem, zaglądał ze zdumieniem i podziwem do koszyka: *Que pajaro mas precioso!* Co to za dziwny, nieznany ptak!

Śpię pod kapą w niebiesko-białą szachownicę.

Firanki też są w niebiesko-białą szachownicę. I lauffer na komodzie i serweta na stole. I fartuch Cataliny i portjery w saloniku. Ciągłe mam w myśli krzyżówki. To jest majorkińska *tela de lengua*.

Catalina przynosi śniadanie; wszystko w niebieskich garnuszkach. Na garnuszkach etruskie motywy. Dużo kawy, dużo mleka, dużo konfitur! Obok bułek rozkłada się *ensaimada*. To także krajowa specjalność, rodzaj francuskiego ciasta w formie ślimaka. Pieką ją w różnych formatach, nieraz wielkie, jak koła młyńskie. „Ensaimada“ jest póty możliwa — póki świeża, dlatego pewno stanowi artykuł eksportowy. Przed każdą piekarnią i cukiernią sterczy kolumna okrągłych pudełek. W pudełkach są „ensaimadas“, te na eksport. Co wieczór odpływa statek do Barcelony i po ulicach widać biegnących klusem przechodniów plei ohojej z okrągłymi pudełkami. Cały pokład zastany okrągłymi pudełkami. Kto z Palmy jedzie do Barcelony — ten zawozi „ensaimadas“ i żeby to jedna! — trzy, cztery, pięć!

Co za kurz na ulicach! Tumany, trąby powietrzne kurzu. Ale trzeba przyznać — kurz specjalny. Osiada na obu-





wiu różowym pyłem. Ziemia tu poważnie jest czerwona, skały również. Zamek Belver musi być chyba zbudowany z tutejszego kamienia, bo zawsze wygląda, jak zapłoniony. Nawet po zachodzie słońca, nawet w pochmurny dzień.

Nie włożyłam kapelusza, noszę się jak palmczanka. Więc skąd wszyscy od razu wiedzą, że jestem *extranjera*? Ano, bo chodzę sama. Hiszpanki nigdy nie chodzą same. Zawsze we dwie, jak karabinjerzy. Ładne dziewczyny, a właściwie ładnie zbudowane. Długie nogi, prościutkie plecy, piersi jak Wenus z Milo. Chodzą w trepkach, albo też na karkołomnie wysokich obcasach. Tyle ich uroku, co do zamążpójścia, czyli do lat mniej więcej osiemnastu. Po dwojgu dzieciach robi się z posągowej dziewczyny — gdańska szafa. Trzy podbródki, kark garbaty od tłuszczu, reszta złana w bezkształtną masę. Toczy się, dyszy i furka wachlarzem. Rodzi dzieci, karmi je z namietnością nawet gdy już mają zęby, je baraninę i ryż na oliwie i nie rusza się z domu,

chyba do kościoła. Mąż, o ile jest biedny, dochowuje jej wierności. Zamożniejsi — ma przyjaciółkę na mieście. Taką elegantszą, od wychodzenia, od dancingu. Wszyscy o tem wiedzą, a przede wszystkim żona. Nikt się nie gorszy — naród, który pochodzi od maurów, uważa wielożenstwo za objaw naturalny.

Słońce piecze, upał, kurz, susza. Wszyscy w tym kraju hodują cień i wilgoć. Wąziutkie uliczki, okiennice szczelnie pozamykane, drzwi wejściowe przysłonięte płócienną kurtyną. Kamienne podłogi, zlewane obficie wodą. A wody należy oszczędzać... Prócz nowoczesnych dzielnic domy nie są skanalizowane, po wodę trzeba maszerować do studni. Więc idą babiny z amforami na biodrze, jak za biblijnych czasów. Studnia... hm, też trzeba się domyślić, że to jest studnia. Stoi jakby kiosk, a przed kioskiem pionowo bęben z korbą. Kręci się korbą i woda leci z paszczy brzydko wykrzywionego smoka. Babina mieszkająca na piętrze, więc nie będzie dzwigała dzbana po schodach. Woła córkę, córka spuszcza z okna sznur i winduje amforę.

Nie dziwię jej się, że nie chce z ciężarem wdrapywać się po schodach. Bo co to za schody! Wązkie, jak drabina, prostopadłe, strome, tonące w ciemności i — wyłożone majoliką. Bardzo ładna majolika w niebieskie kwiatki, ale jeżeli się ktoś na takich schodach poślizgnie... W domach zamożniejszych niema majolikowych sionek — jest *patio*: podwórze, w którym buja palma, drzewo bananowe. Wzdłuż ścian kwitną w glinianych wazach pelargonie, a bramy, poręcze schodów, wogóle wszystko co się da, jest z artystycznie kutego żelaza.

Wstąpię do kościoła. Ciemno, chłodno jak w grobie. Po chwili rozróżniam kilka postaci w mantylkach. Nie wiem, czy się modlą, ale wiem, że się wachlują. Klik — otwierają wachlarz, machną dwa razy, klik — zamykają. I tak bez przerwy. Na prawo wisi konający Chrystus, ubrany jak bajadera. Aksamitna spódniczka, obszyta złotym galonem. Szeroki pas metalowy, a z ramienia

spływa więc kwiatów. Wszystkie hiszpańskie krucyfiksy są tak przybrane, prócz tego mają prawdziwe długie włosy, nierzadko brodę. Z obu stron klęczą święte niewiasty, odziane w materialne szaty. Wełna, jedwab — Hiszpan swoim świętym nie żałuje. Klęczą w płomieniach, na szczęście płomienie są sztuczne.

Wracam na obiad. Dlaczego mój kelner nie wstąpi do kina? A tamten drugi także. Są tacy piękni, że ich szkoda na codzienny użytek. Te głębokie ondulacje, te przepaściste, czarne oczy... Zowią się Jaime i Rafael. Czyli Jakób i Rafał... Nie! nie trzeba psuć! Każą mi jeść ryby w konserwie, ryby smażone, ryż na oliwie, mięso duszone, mięso pieczone... Wszystko to obficie przesycone solą, pieprzem, papryką; prócz tego stawiają na stole ocet, musztardę i sos Worcester. Błagam o jarzyny — nie! Rafael żałuje. Jarzyn w tym kraju nie jadają, jarzyny używane są tylko jako przyprawa do *paella valenciana*.

Po obiedzie „siesta“; na ulicach jak wymiótł, tylko kurz i drzemiące w słon-

cu koty. Dopiero około szóstej promienada „El Borne“ zaczyna się ożywiać. Platany ścielą długi cień. Starsi mężczyźni zasiadają na żółtych krzeselkach z gazetami. Młodszy idą się kąpać, każdy ma o tej porze ręcznik pod pachą i rozchętana koszulę. Kobiety wyległy przed dom, szyją, cerują, plotą koszyki. Zawsze ta sama zasada: kobiety osobno, mężczyźni osobno.

O tej porze angielskie turystki chodzą na *shopping*. Kupują olbrzymie kapelusze słomiane i koszyki z brzegiem w deseń. Koszyki są także specjalnością krajową; każdy na Majorce chodzi z koszykiem. Koszyk zastępuje worek, torebkę, szuflę, śmietniczkę, walizkę, portfel — czy ja wiem co jeszcze. Kupują jeszcze fajansowe garnuszki i flaszki anyżówki, opłatane słomą. Prócz tego pocztówki z widokiem katedry, Lónja, patio franciszkańskiego kościoła.

Katedra jest piękna. Podobno jeden z najpiękniejszych w świecie okazów gotyku. I stoi nad brzegiem morza, co się chyba nie zdarzyło żadnej katedrze. Przed zakrystją siedzą ohydni żebracy, tacy z obrazu Ribery czy Zur-



A black and white line drawing of a woman and a man. The woman, on the right, is wearing a patterned dress and a necklace, looking towards the right. The man, on the left, is wearing a striped shirt and looking towards the right.

[illegible]



rych mahometańska ludność chlustała smołą i miotła kamieniami na szturmującą armję chrześcijańskiego króla.

Noc zapada. Wracam na „Borne“ i z trudem przeciskam się przez tłum. Kawiarnie przepelnione, orkiestra gra, radio wrzeszczy, gramofony wyją, wszyscy rozmawiają chronicznie podniesionym głosem, dzieci wykrzykują, psy szczekają, koty miauczą. Dziewczęta, które w największy skwar słoneczny chodziły z gołą głową — teraz powkładały wielkie kapelusze. Szkoda, że nie otwierają parasolek. Czyściubuty kłęczą

przed jegomościami w kawiarniach i czyszczą im trzewiki; inni jegomoście czekają w ogonku u golarza. Wszystkie zabiegi estetyczne — na noc! Wędrowny handlarz krawatów — *corbatas elegantes, calzettinas...* — o tej porze może mieć pewne szanse.

Idę dalej. Na Rambla niema już tłumów, tylko na kamiennych ławkach, w cieniu szumiących platanów szepeją zakochane pary. Obok każdej pary — nieodstępna mama. Mama w mantylec, z wachlarzem, znudzona, śpiąca, ziewająca...

Jadwiga Rapacka

NOWE MEBLE



Projektował
Zbigniew Czech





Projektowali

arch. J. Skolimowski i A. Stypiński





Motyl, który nas u b i e r a

Ani piękny, ani barwny, ani zwinnie, a tylko bardzo pożyteczny, motyl-cma jedwabnika morwowego (*bombyx mori*) ma ociążalą postać i białe, poplamione cienkim wzorkiem, skrzydełka. Gdy do tego dodać, że nawet fruwać nie potrafi — to trzebaby stwierdzić, że nie mógłby służyć poetom za temat do opiewania lekkości, zwinności i piękna. Posiada jednak zaletę, jaką nie może się poszczycić żaden owad — ubiera człowieka w najwspanialsze tkaniny jedwabne.

Gdy piękna pani zachwycą się szlachetnym połyskiem swej jedwabnej toalety, nie myśli o tem, że na szalę złożyła się praca około 2000 gąsienic jedwabnika. Księżda przed ołtarzem ustroiło we wspaniałą kapę — około 3000 gąsienic. Gdy lotnik ratuje się na spadochronie — ratuje mu życie około 15000 małych gąsieniczek. Należy im się przeto, aby myśl i uwaga nasza zatrzymały się na nich przez chwilę.

„Pracę” rozpoczyna jedwabnik już od pierwszego dnia swego życia. Gdy

w końcu maja z jajeczek wylęgną się małe, trzymilimetrowej długości, ciemne, silnie owłosione gąsieniczki, zaczynają od razu przeżuwać listki jedyne drzewa, którem się żywią — morwy (*morus alba*). W cudownym laboratorium, jakim jest organizm każdego stworzenia, składniki chemiczne zawarte w zielonym liście — zmieniają swą postać i gromadzą się w organizmie gąsienic jako ciecz koloidalna, z której ma powstać jedwabne włókno.

Krótki, trwający do 5 tygodni, ży-

wot gąsienic jedwabnika jest stale pod opieką człowieka. Jedwabnik morwowy nie występuje już nigdzie w stanie dzikim; jest zawsze specjalnie hodowany, w pomieszczeniach pod dachem.

Hodowca umieszcza gąsienice w izbie, na półkach w rodzaju etażerek, gdzie leżą spokojnie i posłusznie, prawie nie zmieniając miejsca, i zjadając z zapalem podawane im pięć razy dziennie świeże, zielone liście morwy. Praca hodowcy nie jest trudna. Zrywać i podawać liście potrafi nawet dziecko, toteż hodowla jedwabników stała się zajęciem kobiet i dzieci.

Godzienną rano rozkłada się na półkach arkusze dziurkowanego papieru o otworach, odpowiadających średnicy ciała gąsienic — mniejszych na początku hodowli i większych (17 mm) przy końcu — pokrywając nimi gąsienice, które natychmiast przedostają się przez otworki na wierzchni papier, gdzie się im posypuje świeże listki, podczas gdy papier ze spodu, zanieczyszczony niedojedzonymi resztkami liści z poprzedniego dnia i ekskrementami, usuwa się. W ten sposób łatwy i prosty hodowla, zawsze utrzymywana w czystości, jest zdrowa i zapewnia bogaty plon.

W ciągu swego życia gąsienice jedwabnika zrzucają pięć razy skórę, nie mogąc w niej pomieścić rozrastającego się ciała. Zrzucanie skórki poprzedza ciekawy pod względem fizjologicznym stan, podczas którego gąsienica podnosi przednią część tułowia do góry, wznosi przednie łapki i trwa w takiej jakby kontemplacji nieruchomości do półtorej doby.

Po pięciu tygodniach życia gąsienic, gdy dorosną już do dziesięciu—dwunastu cm długości, czeka hodowcę jeszcze jeden zabieg: ustawienie dookoła półek, na których leżą gąsienice, płotków z suchych gałązek np. dębu, brzozy, pęczków słomy, wiorków drzewnych i t. p., na które gąsienice po 32 dniach życia wejdzie, ażeby znaleźć sobie zaciszne miejsce i przynajmniej trzy

punkty oparcia dla zbudowania oprzędu.

Nagromadzona w ciągu życia gąsienicy substancja jedwabna w dwóch gruczołach, zajmujących $\frac{1}{3}$ całego organizmu, zostaje przy pomocy specjalnego aparatu, t. zw. kądzielnika, wchodzącego w skład budowy głowy, wydzielana podwójnym, złączonym strumieniem cieczy, która odrazu krzepnie na powietrzu i tworzy cienką, ale mocną nitkę.

Gąsienica, przytrzymując się nóżkami przedmiotowi, na którym buduje oprzęd, porusza przednią częścią tułowia i przylepia wydzielaną nitkę w różnych punktach, budując fundament dla oprzędu. Sieć nitek zagęszcza się, zaczyna być widoczny zarys kształtu oprzędu — owalny 3—5 cm wielkości, często z lekkim wcięciem pośrodku. Po trzech dniach pracy, podczas

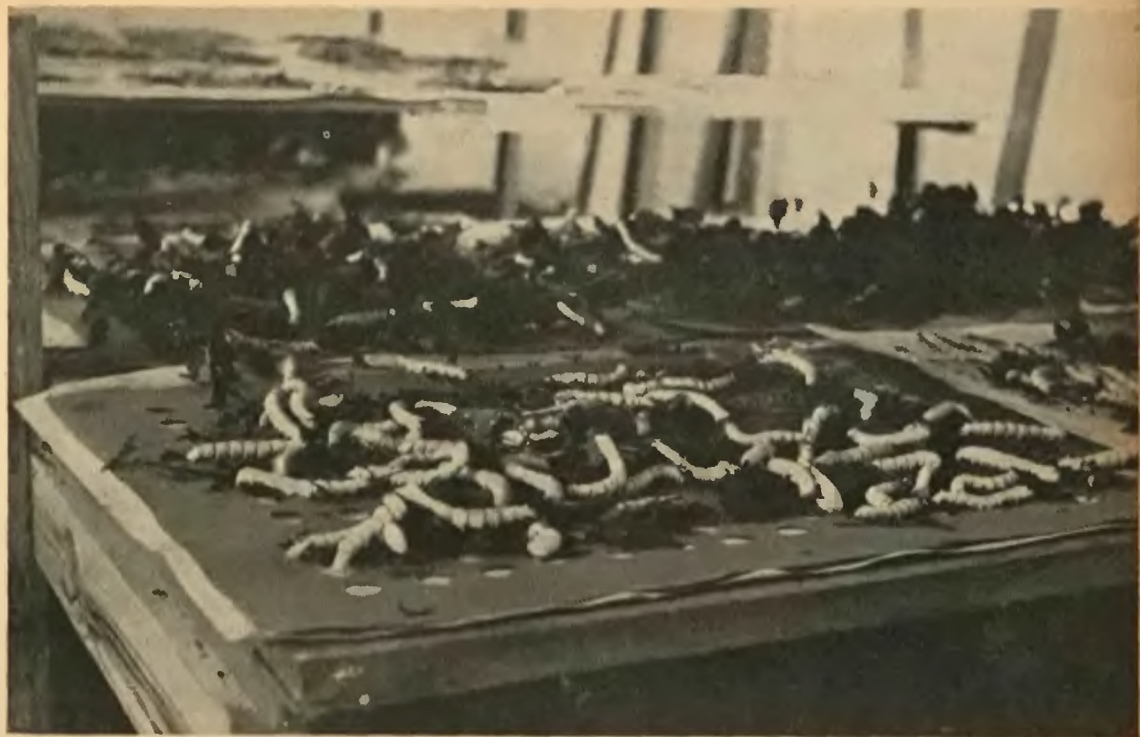
której gąsienica wykonywa swym tułowiem ponad milion poruszeń — oprzęd jest gotowy. Składa się on z kilometrowej długości nitki, jednolitej i nieprzerwanej.

Teraz następuje zbiór oprzędów przez hodowcę.

Piękny to widok owych tysięcy oprzędów barwy białej, żółtej, pomarańczowej, cielistej, zielonkawej — w zależności od rasy, którą się hodowało. Każdy oprzęd — to jakby kłębuszek gotowej nitki. Człowiekowi pozostaje rozwinać nitkę, jak ze szpulki — jedwabnik wykonał najtrudniejszą i najznużliwszą we włókiennictwie pracę — wytworzenie nitki.

Oprzędy jedwabne stanowią jedwabny surowiec — przedmiot masowej produkcji, wielkie krajowe bogactwo Japonii, Chin, Indyi, Italji, Francji —





przedmiot handlu międzynarodowego — podstawę wielkiego przemysłu światowego. Wszystkie kraje, którym warunki klimatyczne pozwalają na wegetację morwy — usiłują u siebie rozwinąć hodowlę jedwabników i przemysł jedwabny, ponieważ jedwab naturalny jest nie tylko materiałem na najpiękniejsze tkaniny odzieżowe i dekoracyjne, lecz i niezbędnym włóknem dla obrony kraju, używanym na wyrób woreczków prochowych i spadochronów.

Niestety, oddając swój jedwab człowiekowi — jedwabnik traci życie. Cykl rozwojowy zostaje przerywany. Po zawiąznięciu oprzędu gąsieniczka — zamieniona w poczwarkę — leży wewnątrz bezbronna i cicha, podobna do mumii. Gdyby ją zostawić w spokoju, po trzech tygodniach poczwarka przeistoczyłaby się w motyla, który przedziurawiwszy oprzęd, wydostałby się na świat. Oprzęd przedziurawiony nie posiada jednak wartości dla przemysłu — nitka jest porwana i nie da się rozwinąć, dlatego

oprzędy przed wyjściem motyli zostają zamrożone działaniem wysokiej temperatury i w ten sposób zabezpieczone — stanowią nie podlegający psuciu surowiec. Specjalne tylko zakłady, produkujące jajeczka jedwabników dla hodowców, troskliwie doprowadzają jedwabniki do całkowitego ich rozwoju, i zniesione przez motyle jajeczka rozchodzą się po świecie pomiędzy hodowców, dla nowych, na następny już rok hodowli i nowych zbiorów.

I Polska jest w rzędzie tych szczególnych krajów, w których morwa rośnie i które mogą u siebie rozwijać hodowlę jedwabników i przemysł jedwabny, oparty na własnym surowcu. Posiadamy około 1000 hodowli, rozrzuconych po całym kraju.

Ciekawe życie jedwabnika obserwować można w czerwcu w pokazowej hodowli doświadczalnej Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Milanówku pod Warszawą, otwartej w tym czasie dla zwiedzających.

St. Witaczkówna

Charles Derennes



Niech sobie ludzie mówią, że na tym padole
zgon i miłość to para małżonków dobrana —
ja w rodzinnym ogrodzie, póki kwitną, wolę
zrywać róże, i na twe je rzucać kolana
i mówić ci, że życie jest cudowną danią,
jest wyrwanem nicości przelotnem wytchnieniem,
słodkim błyskiem, pomiędzy mrokiem a otchłanią.
Mrokiem, który nas zrodził, i tajemnym cieniem
głębi, ku której idę w zadumie powoli.
Chrześcijanin? Poganin? — Obydwaj są we mnie,
więc jestem niewolnikiem stokrotnej niewoli,
a przyszłość ma zakryta podwójnie tajemnie,
w elizejskim pałacu z błękitu i złota
czy spotkam się z dzieciństwem, radośnie zdziwionem?
Czy uśmiechnę się jeszcze do marzeń żywota
w opiewanem przez Danta gdzieś niebie spiętrzonem?
Pieszczę twoje ramiona i usta całuję;
wszystkiem, co w lecie żyje z wiosennej radości
wonieje twoje łóżę i śmiech się raduje —
czy naprawdę marzyłem o innej wieczności?
A gdy краса mych kwiatów opadnie wędnąca,
gdy się oczy kochane odwrócą ode mnie,
Czy nie słusznie pokocham, o ty, kochająca —
nad rajów opiewanych słoneczność bez końca —
mrok pozamną — i mroków nadchodzących ciemnie?...

Przełożył Witold Mogiński





Fot. Studio Dorcyne

J a n i n a B o i t e l
paryska artystka dramatyczna



Pierwsze
samodzielne
k r o k i

T y m o n

i Frozyna



— Pójdiesz w las, Frozyno, północną porą, przy pełni miesiąca i urwiesz ziele księżycowego, co tylko raz na miesiąc cudownej mocy nabiera, nasyciwszy się blaskami księżyca, a do wszelkich, zwłaszcza miłosnych spraw wielce jest pomocne. A poznasz ziele owo po świetle srebrnem, które, od pełni miesięcznej siły pożyczając, wokoło siebie roztacza. Narwij ziele onego przygarście ze dwie, ale pamiętaj, lasem idąc, a zwłaszcza ziele zbierając, na tarczę miesiąca nie spojrzeć, bo łatwo nieszczęście może się zdarzyć i, urzeczona, będziesz potem marą księżycową błędziła po świecie. A potem...

— pochyliła się blisko nad Frozyną i zgniełm telnieniem starczych warg na nią wionęła —

...biegnij prędko do zagrody miłego swego, naczep wody ze studni, ziele księżycowe do wiadra wrzuć. Woda nabierze siły cudownej i każdy, kto tej wody wypije, tęsknić za tobą będzie, jak ziemia za księżycem, i pełny będzie

myśli o tobie, jak ziele cudowne pełne jest blasków miesiąca.

*

Biegła Frozyna szybko po ścieżce rękciowego blasku, a przed nią odwijają się zza kłębu cienia piaszczysta wstążka leśnej miedzy. Drzewa szumiały nad nią ciemnymi, łapiastymi gałęziami, krzewy przykucwały na drodze, jak czające się niedźwiedzie. Bała się bardzo Frozyna ciemnego lasu, lecz jeszcze bardziej lękała się, aby nie spojrzeć za siebie, na przymrużone, rozjaśnione w uśnięciu oko księżyca. Więc przyciskając rękę do staniczka, za którym ukryła łaskotliwe zioła, pochylała się tylko przed uderzeniami kosmatych łap, aż wreszcie, zadyszana, zatrzymała się na skraju lasu. Z pobliskiej łąki słychać było tupot kopyt, rżenie i trzel fujareczany.

— Tymon... — szepnęła ze łzami w głosie i, zadumana, poszła ku wsi.

Niebo blade już na świtanie, kiedy Frozyna siadła u studni w zagrodzie Tymona i, oparłszy się o wiadro, pełne

czarodziejskiej wody, mającej obdarzyć ją miłością ukochanego, czekała na jego powrót z nočnego pastwiska. W obejściu Tymona wszystko jeszcze spało. Z nad stawów słychać było daleki rechot żab, ze wsi odzywały się leniwe, przygłuszone piania kogutów. W powietrzu było chłodno, wilgotnie i cicho. Frozyna oparła ręce na kolanach, skłoniła głowę, zanurzyła ją w rozchyłonych dłoniach i powoli, zdrożona całonocnem czuwaniem, w oczekiwaniu — zasnęła.

Zbudziło ją skrzypienie wrót u obory, tupot kopyt, rżenie, ryk bydła. Zerwała się szybko. W ruchu tym wiadro, stojące na korycie przy studni a potrącone nieopatrznie, przewróciło się i woda czarodziejska spłynęła do koryta.

— O, ja nieszczęsna — jęknęła tylko Frozyna, bo oto bydło, wypuszczone z obory, tłoczyło się już u rannego wodopaju. Konie i krowy, kozy i owce, łagodnie wyciągając szyje, co chwila spoglądając w bok i kapiąc na ziemię z miękkich pysków przezroczystymi kroplami, chleptały i chleptały drogocenny napój. Gołębie przysiadły na brzegu koryta, kury wlatywały z ziemi

i, strosząc pióra, siadały na krawędzi, nawet wróble, przeczuwając nadełdżający upał — zanurzały w głębi koryta szaroniebieskie, brązowe, czarne i zgoła szare łebki, przechylały ku górze gardziółka i łykały świeżą wodę.

— O, ja nieszczęsna — powtórzyła Frozyna, bo oto zbliżał się do niej Tymon z fujarką w ręku i mówił:

— Nie masz tam trochę wody do napięcia się, Frozyno? — A mówił to tak codziennie, tak spokojnie i obojętnie, że Frozyna załamała tylko dłonie i z płaczem głośnym wybiegła na drogę. Za nią z donośnym rykiem, rżeniem, beczaniem, gruchaniem, gdakaniem, pianiem, z tętentem kopyt, racie, z furkotaniem skrzydeł pobiegło, poleciało, pofrunęło całe stado, cały dobytek Tymona.

Siadła Frozyna na łące nad brzegiem rzeczulki i ronić poczęła łzy obfite. Zegnała się już w myśli z ukochanym Tymonem, ostatniem spojrzeniem ogarniała las, i łąkę, i pola, i słońce, i razpo-raz spoglądała na staw, siniejący poprzecz zarośla trzciny i tataraków głębokimi okami wody. Bydło tymczasem pasło się na łące, otaczając Frozynę wieńcem głów obciążonych rogami, unosząc od czasu do czasu spokojne pyski, by spojrzeć na nią tęsknie i miłośnie.

Tymon po ucieczce stada podążył za nim. Zrazu nawoływaniem, wreszcie biczem próbował zawrócić je do zagrody, kiedy nie jednak nie pomagało, a zakochane bydło uparcie przyglądały się w niemej admiracji rozekłanej Frozynie, stanął bezradnie, a potem z rozpaczą zawołał:

— Ach, Frozyno, cóżś uczyniła z moimi bydłatkami? Czy taka jest twoja miłość, o której mnie zapewniałaś? Czy chcesz mnie pozbawić mienia?

— Tymonie, wierz mi — odrzekła Frozyna, drgnawszy na dźwięk jego głosu — nie moja w tem wina. Jakżeby mogła, kochając cię, tak srodze cię ukrzywdzić?

— Co mi tam po twojej miłości — zawołał ze złością Tymon — pomóż mi oto lepiej zapędzić bydło do stajni!...

Ścisnęło się serce Frozynie, ale, posłuszna, wstała i jęła spędzać z łą-





ki tymonowe stado. Próżno jednak, zarzucając ręce na kark laciastej krowie - przewodniczce, głaskała ją po miękkich, ciepłych nozdrzach — krowy i cielęta płasko wyciągały lby jaknajbliżej jej sukni i, unosząc dogórnymi wargi, jakgdyby zagarniały soczystą trawę, węszyły z lubością zapach dziewczyny, capy i owce przysłaniały powiekami wypukłe oczy i w rozmarzeniu ruszały uszami, nawet pies, stróż i opiekun stada, zapominał o swej powinności — siadł u stóp Frozyny, ażeby całym

ciałem odezuwać ciepło jej nogi. Na próżno też Tymon wymachiwał długim biczem i pokrzykiwał groźnie — młode jalszki, zadartszy ogony, zakończone rozwianą kitą, brykały wokół łąki i powracały do Frozyny. Dopiero kiedy Frozyna wpadła na myśl, by udać się w kierunku zagrody Tymona, stado wolnym krokiem, pyski ze smutkiem schylające ku ziemi i sącząc na pył drogi długie nitki śliny, ruszyło za nią. A kiedy podstępem, wszedłszy do obory, zwabiła je tam i zostawiła potem same, zamknięte,

opuszczone — przez resztę dnia i całą noc następną rykiem i bekiem, rżeniem i jękiem zwierzały się ze swego opuszczenia. Psy z całej wsi, słysząc rozpacz nieszczęśliwych bydła, głośnie wyciem wtórowały ich żalom. Sąsiedzi zamykali okiennice, chowali głowy pod pierzyny byle uciec, byle się schronić przed przeraźliwymi głosami, które odbierały im sen. Staruszki żegnały się po bożnie i przepowiadały wojnę i pomór. A nad ranem, kiedy rozpaczliwe ryki i płacze bydła zdawały się już rozsadzać ciasną oborę, zeszli się wszyscy przed dom Tymona, pytając:

— Tymonie, Tymonie, cóżś ty zadał swojemu bydłu, że taką rozpaczą wieść całą napelnia i odbiera nam wszystkim spokój? Napraw czemprędzej krzywdę, Tymonie, komukolwiekbaż żęś ją wyrządził, bo jeśli nie uczynisz tego, to spotkasz się z gniewem całej wsi...

— Nie wiem nic, nie wiem nic — zaklinał się Tymon, siedząc na kamieniu

przed oborą w rozchełstanej koszuli na piersiach i obiema pięściami ściskając się za głowę.

— Nie wiem nic — powtarzał, a kiedy słyszał wciąż wzmagający się płacz swego ulubionego bydelka i obelgi sąsiadów, nie dbał już o nic — zapłakał.

Ale gdy, zdesperowany i błędny, otworzył o świcie drzwi obory i całe stado znów pomknęło, wznosząc na drodze obłok pyłu, przed dom śpiącej jeszcze, zdrożonej przygodami dnia poprzedniego Frozyny, już wiedział, co czynić.

Pobiegł za stadem i przeskoczywszy przez płotek ogródka, który otaczał chatę, wetknął głowę do niskiego okienka i siłą rozpychając tłoczące się i zagładające ciekawie do wnętrza izby krowy, zawołał głośno:

— Frozyno, Frozyno, zostań już przecie moją żoną, bo jeżeli bydło moje tak za tobą idzie, to chyba muszę już z tobą ożenić się.

Seweryn Pollak

Il. Maciej Nowicki





LANNY ROSS

phot. Paramount

Spokojne dawne dobre... czasy

Dawne, dobre, a nadewszystko spokojne, przedwojenne czasy...

Wiek dwudziesty; rozkwit dobrobytu, nagninne bezrobocie nawet jako pojęcie nie istnieje — nie się nie dzieje, co by budziło grozę, nikt nie spada z samolotem, nie słyhać o gazach, kryzysie, grypie i innych okropnościach.

Jest spokojnie... Anglja coprawda prowadzi wojnę z Burami, ale to tak daleko, aż w Afryce. Edward VII zawiera traktat z Japonją w roku 1904, w dwa lata po zakończeniu wojny w południowej Afryce. Traktat ten jest solą w oku Rosji. Nie dziwnego. W nocy z 8 na 9 lutego roku 1904 Japonja, nie wypowiadając wojny, storpedowała trzy rosyjskie okręty na redzie portu Artura. Było to początkiem działań wojennych. W tym samym roku Anglja zawarła ścisłe porozumienie z Francją, równo w cztery lata po krwawym incydencie w Faszoda, który o mało co nie spowodował wojny francusko-angielskiej.

Dobre, spokojne, przedwojenne czasy. Coprawda w roku 1905 w Rosji wybucha rewolucja. W dwa lata później Petersburg przystępuje do ententy, przygotowanej przez genialnego dyplomacę Edwarda VII, tak niedawnego sprzymierzeńca Japonji. Działo to się w trzy lata po aferze z Doggerbank, która spowodowała chwilowe zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Rosją a Anglją.

A potem rok 1908 — powstanie młodotureckie i aneksja przez Austrię Bośni i Hercegowiny, rok 1911 wojna włosko-turecka, rok 1913 druga wojna bałkańska, a zaraz potem, zwykłą logiką kalendarza, nadszedł rok 1914.

Spokojne, „przedwojenne“ czasy.

Sztaby generalne pracowały ze zdwojoną energją w owej, dziś nieledwie „złotą“ nazwanej, epoce sprzed roku 1914. Pracowały na wszystkich odcinkach, ale chyba najintensywniej wrzała robota w skromnie nazwanych biurach, trudniących się wywiadem. Naprężona sytuacja wymagała nadewszystko informacji. Paryski drugi oddział sztabu, austriackie biuro ewidencyjne, berlińska sekcja III B i lew wywiadu, angielski Intelligent Service, nie szczędziły

wysiłków, aby wiedzieć co się dzieje w obcych armjach i w obcych gabinetach, z których wychodziły decyzje o wojnach i przymierzach.

W rozkosznym, przedwojennym Wiedniu, mieście rozśpiewanem w takt walca, rozbawionem pod władzą dobrotliwego cesarza i króla, rozegrała się jedna z tragedij na tle wywiadu; fragment który dziś dopiero, po latach, staje się publiczną tajemnicą — w szczegółach.

Smutnym jej bohaterem był oficer sztabu generalnego, Alfred Redl.

Redl został w roku 1900 szefem wywiadu w austriackim biurze ewidencyjnym. On to kierował pracą agentów zagranicą, zwalczał akcję szpiegowską na terenie monarchji Austro-Węgierskiej. Był bezlitosny dla obcych szpiegów i zawsze doprowadzał do wyroków skazujących na śmierć.

Wywiad rosyjski zagiął parol na Redla. Człowiek ten wykrywał, dzięki swym niezwykłym zdolnościom, razporaz sieci rosyjskich placówek. Posiadał świetne informacje o Rosji, tępiąc z niechęcią się z nieczem bezwzględnością szpiegów carskich w Wiedniu. Zaczęło się od podsuwania Redlowi uroczych kobiet, ale wprędce wywiadowcy rosyjscy ustalili, że kobiety nie istnieją dla Redla. Zaczęło nasyłać przystojnych chłopców, którzy wykazali się większymi sukcesami niż kobiety.

Zgodnie z pragmatyką służby Redl musiał, po otrzymaniu awansu na majora odbyć roczny *stage* w pułku. Zastępować miał go kapitan Rouge. Przez jakiś czas kapitan Rouge pracował z majorem Redlem, zaznajamiając się ze swojami przyszłemi obowiązkami. Był jego uczniem.

Po roku Redl wrócił do wywiadu i zameldował, że odziedziczył po wuju dość znaczny majątek, który pozwala mu żyć na wystawniejszej, niż dotąd stopie. Redl jeździł własnym samochodem i często widywano go w modnych restauracjach.

W czasie pobytu Redla w pułku, wywiad austriacki korzystał z usług pewnego oficera rosyjskiego, zaangażowanego przez kapitana Rouge. Rosyjski oficer dostarczał cennych informacji Austriakom, między innemi doniósł, że Rosja musi posiadać w Wiedniu jakiegoś bardzo ustosunkowanego szpiega, który dostarcza pierwszorzędných informacji.

Sprawę znalezienia rosyjskiego szpiega powierzono majorowi Redlowi, który udał się na granicę austriacko-rosyjską. Jak się potem okazało Redl porozumiał się z wywiadem rosyjskim, zdradził nazwisko owego rosyjskiego oficera, który pracował dla Austrii, wzamian za co Rosjanie wydali nazwiska trzech swoich szpiegów w Wiedniu, aby Redl mógł wrócić z pełnym sukcesem spełnienia swej misji.

Po powrocie do Wiednia Redl oznajmił, że zna nazwiska owych dobrze poinformowanych szpiegów rosyjskich. Wytoczono im proces. Jeden z nich uciekł, dwóch zostało skazanych na śmierć. Redl przedstawił jako dowody rzeczowe listy, pisane przez nich do rosyjskiego wywiadu, czem zyskał sobie opinię niezrównanego fachowca i asa kontrwywiadu.

Ale równocześnie agenci wywiadu austriackiego ginęli jeden po drugim, wydawani przez Redla, który już teraz był całkowicie w mocy Petersburga.

W roku 1912 Redl zostaje podpułkownikiem i przechodzi na stanowisko szefa sztabu VIII korpusu, stacjonowanego w Pradze. Kapitan Rouge, uczeń Redla, zostaje majorem i reorganizuje służbę wywiadowczą, zajmując stanowisko szefa wywiadu w biurze ewidencyjnym.

I uczeń przeszedł swego nauczyciela — zdemaskował go.

W owym czasie niemiecka Sekcja III B informowała austriackie biuro

ewidencyjne o wszystkich podejrzanych listach, adresowanych z Niemiec do Austrii na *poste-restante* i zwracanych do Niemiec z nadrukiem: „adresat nie zgłosił się po odbiór“. Wśród tych listów znalazł się jeden adresowany do Wiednia na nazwisko „Nikon Nizetas“.

Było to w kwietniu roku 1913. List adresowany do Nizetasa, nie był pocleony, a zawierał siedem tysięcy koron i listę miejsc, znanych z szpiegostwa rosyjskiego.

Major Rouge, gdy się o tem dowiedział, zwrócił się do berlińskiej Sekcji III B z prośbą o sporządzenie identycznej koperty i włożenie w nią pieniędzy, oraz o wysłanie listu z pocztą, z której był nadany pierwszy list nieodebrany w Wiedniu. Starej koperty nie można było użyć spowodu adnotacji o nieodebraniu.

List został wysłany do Wiednia, a na poczeko zainstalowano dzwonek przy okienku z *poste-restante*. W pokoju obok czuwali dwaj agenci, którzy na dźwięk dzwonka mieli zaarrestować odbiorcę listu.

Po paru dniach oczekiwania zadzwieczał dzwonek. Agenci wybiegli z pokoju, ale zdołali tylko zanotować numer taksówki, którą odjechał tajemniczy Nikon Nizetas.

Odszukano taksówkę i dowiedziano się, że odwiozła swego pasażera do hotelu Klomser. Agenci przeszukali samochód i znaleźli ołówek w srebrnej pochwie.

W hotelu Klomser portjer, zapytany kto przyjeżdżał taksówką pół godziny temu, odpowiedział:

— Pułkownik Redl wrócił dziś rano z Pragi.

Jeden z agentów udał się natychmiast do majora Rouge, drugi sprokurował sobie ubranie szofera i wrócił do hotelu. Zapukał do pokoju Redla.

— To pan pułkownik jechał moją taksówką. Zdaje mi się, że pan zostawił ołówek, otwierał pan nim jakiś list o ile pamiętam.

— A tak istotnie to mój ołówek — odpowiedział Redl i wynagrodził domniemanego szofera.

Sprawa stała się jasna.

Major Rouge, stosownie do przepisów austriackich, musiał zebrać trzech wyższych oficerów — inaczej bowiem nie można było aresztować wyższego oficera sztabu generalnego.

Kiedy major Rouge z oficerami sztabowymi wszedł w nocy do pokoju pułkownika Redla, ten nie próbował nawet tłumaczyć się.

Powiedział:

— Wiem — zgubił mnie ołówek, zawsze mówiłem uważać na drobiazgi i pana tego uczyłem mój najzdolniejszy uczeń — poczem zwrócił się do towarzyszących majorowi Rouge oficerów:

— Proszę o łaskę. Swoje ostatnie zeznanie złożę tylko przed majorem Rouge. Wstyd mi przed panami.

Rozmowa dawnego mistrza z uczniem trwała godzinę. Potem pułkownik Redl wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie.

J-k



U

ludzi, którzy muszą wszystko wiedzieć



Dr. Roberto Suster

Szary człowiek, niezuany czytelnik, nieskuszony bakcytem sceptycyzmu ani przesady, posiada dość mgliste wyobrazenie zarówno o osobie korespondenta jak i o jego pracy. Z całego świata dziennikarskiego zna jedynie reportera. Poznał go za pośrednictwem niezliczonych kilometrów taśmy filmowej. Wie jak wygląda, jak nosi kapelusz, w której kieszeni ma płaską butelkę z whisky. Szanujący się bowiem reporter powinien być zawsze pijany. Przynajmniej w filmach amerykańskich. O korespondencie zagranicznym szary człowiek nie wie nic. Czasami przy lekturze zagranicznego dziennika natyka jakiś telegram albo feljeton z Polski.

Zadaniem niniejszego reportażu będzie zaznajomienie polskich czytelników z ekipą zagranicznych korespondentów w Warszawie.

Zaczynam: Pierwszą rozmowę przeprowadziłem z dr. Roberto Susterem, korespondentem

włoskiej Agencji Stefani, prezesem Klubu Prasy zagranicznej. Zapewniam czytelników, że nie padło ani jedno słowo na temat wojny włosko-abisyńskiej. Spotkałem się z dr. Susterem w lokalu Instytutu Kultury Włoskiej.

Jest bardzo zajęty, gorętkowo kładzie energiczny podpis pod jakimiś papierami. Znajduje jednak chwilę czasu, by porozmawiać ze mną:

— *Pronto* (gotów).

W pierwszej chwili nie wiem, jak tytułować mego rozmówcę. Doktorze, redaktorze czy prezesie. Wybieram to ostatnie.

— Panie Prezesie chciałbym się cośniedowiedzieć o Klubie Prasy Zagranicznej, o jego zadaniach, charakterze i celach.

— Klub Prasy Zagranicznej jest organizacją o charakterze wyłącznie zawodowym. Należą do nas dziennikarze bez względu na wyznanie

polityczne. Niech pan to podkreśli — mówi dr. Suster — klub jest apolityczny. W chwili obecnej liczymy 56 członków, w tem 30 Polaków. Zadanie Klubu polega na ułatwieniu pracy korespondentowi i pomocy przy otrzymywaniu informacji; na ułatwieniu kontaktu ze społeczeństwem polskim przez urządzanie obiadów, odczytów, dyskusyj, na które zapraszamy osoby z polskich sfer politycznych i towarzyskich. Dalej za pośrednictwem Klubu otrzymuje korespondent z M. S. Z., z którym współpracujemy, legitymację, która wydatnie ułatwia pracę dziennikarską.

— Jak długo przebywa pan w Polsce, panie Prezesie?

— Od dwóch lat, od dwóch lat jestem też prezesem Klubu. Przedtem byłem w Berlinie, Pradze, Moskwie, uchodzę za specja od spraw Europy Wschodniej — dodaje z uśmiechem.

Wózny podchodzi i po włosku objaśnia, że principe (książę) czeka. Trzeba się śpieszyć. Ostatnie pytanie:

— Słyszałem, że był pan jednym z pierwszych współpracowników Mussoliniego?

— Tak, il Duce znam już osiemnaście lat, jeszcze w 1919 r. byłem redaktorem jego dziennika „Popolo d'Italia”.

Kończę. Książę nie powinien czekać.

✱

Johannes Ahlers



— Kto widział trupy pod ziemią, ten nigdy nie spostrzeże kwiatów na ziemi, mamy takie mądre przysłowie niemieckie — mówi do mnie Johannes Ahlers, korespondent Agencji Gospodarczej *Eilddienst*, autor bardzo ciekawej książki o Polsce. — Nigdybym nie potrafił dlatego napisać feljetonu — redaktor Ahlers mówi dziwnie dźwięcznym akcentem niemieckim, pochodzi z Hamburga. — Feljetonista pójdzie naprzykład na Kercelak, zobaczy jakiegoś obdartego człowieka, sprzedającego kanarka w klatce, parę starych butów i napisze na ten temat cały roman. Jubym tego nigdy nie potrafił. Widzę jedynie biedaka, nie więcej, stan faktyczny. Czytelnicy jednak lubią takie feljetony. Gazety coraz bardziej znajdują upodobanie w sensacji. Dla korespondenta znaczy to, że sensacja powinna być proporcjonalna do odległości, w której znajduje się korespondent od swojej redakcji. Naprzykład dla redakcji w Londynie wystarczy w Manchesterze jeden trup, w Paryżu muszą już być dwa, w Berlinie trzy, w Warszawie pięć, im dalej, tem praca korespondenta sensacyjnej gazety staje się „krwawsza”.

Redaktor Alders uśmiecha się:

— Jestem już 14 lat dziennikarzem. Jako 20-letni chłopak wyruszyłem w świat. Do Anglii, potem na wschód.

Red. Birnbaum



— Co pana uderzyło, kiedy pan po raz pierwszy przyjechał do Polski?

— *Das Nebeneinander von Osten und Westen*; wielu dziennikarzy obcokrajowców twierdzi, że w Polsce spotyka się rezultat wpływów Wschodu i Zachodu, nie zgadzam się z nimi. Wschód i Zachód żyją u was obok siebie. Uderzył mnie również (jako dziennikarz gospodarczy stykam się często z waszym światem przemysłowym) brak zrozumienia dla doli robotnika, zwłaszcza celując w tem małżonki fabrykantów.

— Jak się stało, panie redaktorze, że pan napisał książkę o Polsce?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Książki pisze się pod wpływem wewnętrznego musu. W tym wypadku skłoniła mnie ignorancja niektórych dziennikarzy, którzy przyjeżdżali do Polski na 14 dni i później pisali całe rozprawy o Polsce.

Na pożegnanie pokazuje mi redaktor Ahlers kopje swoich telegramów. Czego tam niema! Poprzez eksport świń w miesiącu wrześniu, import towarów luksusowych, do raportów o wydajności huty Batorego na Górnym Śląsku.

*

Redaktor Birnbaum uprzedza mię przez te-

Valentinus Gustainis



telefon, że mieszka na Żoliborzu. Wylicza ulicę, jakimi można się dostać do niego.

— Inaczej pan w żaden sposób nie trafi.

Znalazłem mimo to śliczną willę, w której mieszka korespondent *Frankfurter Zeitung*, *Basler Nachrichten*, jak mię uprzedzano, jeden z najświeższych dziennikarzy.

Redaktor Birnbaum opowiadał mi ciekawą historyjkę. Było to zdaje się w roku 1927, w zimie.

— Podczas przyjęcia u jednego z ministrów podszedł do grupki korespondentów Marszałek Piłsudski. Ktoś ze swity powiedział Mu, że jesteście dziennikarzami zagranicznymi. Marszałek popatrzał na nas przez chwilę i zapytał po niemiecku: — W jakim języku nam z panami rozmawiać? — Jeden z dziennikarzy, Niemiec, redaktor Netter, wystąpił i po polsku z mocno frankfurckim akcentem odpowiedział: — Z Wielkim Człowiekiem w Polsce należy mówić po polsku. — Redaktor Netter jest świetnym dziennikarzem, jednak fatalnie mówi po polsku. Marszałek wybuchnął śmiechem i niestety nie wziął nas poważnie — mówi z lekką nutą żalu redaktor Birnbaum.

Pytam o pracę korespondenta.

— Korespondent powinien wiedzieć o kraju, w którym żyje, wszystko, zarówno w zakresie polityki gospodarskiej, jak i kultury o wiele więcej niż przeciętny Polak. Powinien znać ostatnią powieść Dąbrowskiej, wiedzieć wyczerpująco o problemach nieliczności niemieckiej na Wołyniu i o kontyngencie na gęsi.

Redaktor Birnbaum pokazuje mi swoje zbiory bibliofilskie. Kopje telegramów Agencji Rudolfa Okręta z 1877 r. Telegram z wojny niemiecko-francuskiej. Pierwsze kaczki dziennikarskie, każda podkreślona czerwonym ołówkiem, rezultat badań redaktora Birnbauma. Naprzykład bitwa morska pod Scheveningen, która miała się odbyć 20 lipca. Poseł francuski w Nowym Jorku, który z woli dziennikarza 21 lipca popełnił samobójstwo. *Kurjer Polski* z 20 marca 1830 r. Znajduję następującą recenzję: *Po długim oczekiwaniu wystąpił pan Chopin. Licznie zgromadzona publiczność zgatowała młodemu artyście gorącą owację.*

*

Długo musiałem zapewnić przez telefon redaktora Gustainisa, że mój wywiad niema nic wspólnego z polityką. Były naczelny redaktor



G. Jouve



Dr. G. Thimm

Lietuvos Aidas bawi dopiero od kilku miesięcy w Polsce. Rozmawiam z nim w dobie po jego litewskiej rozmowie w Klubie sprawozdawców parlamentarnych, w Sejmle, z premierem Kościalkowskim. Pytam o niektóre szczegóły. Redaktor Gustainis zaczyna i nagle przerywa:

— Nie, toby zahaczało o politykę.

Kierujemy rozmowę na inne tory.

— Jestem korespondentem pisma, w którym doniedawna byłem naczelnym redaktorem. Mogłem objąć jakieś wysokie stanowisko państwowe, wolałem jednak jako dziennikarz przyjechać do Polski. Kocham zawód dziennikarza i trudno byłoby mi się z nim rozstać.

Redaktor Gustainis ożywia się.

— W przeciagu pięciu lat napisałem dla Lietuvos Aidas 900 artykułów. Często, jeśli nie było dość czasu dyktowałem prosto do maszyny. Niektóre z tych artykułów straciły w perspektywie czasu na wartości, z niektórych jeszcze teraz jestem dumny.

Po przerwie mówi dalej:

— Interesuje mnie wasz teatr. Macie bardzo dobrych aktorów. Opera również dohra, śpiewaków w Kownie nie mamy jednak gorszych, może nawet lepszych. Uczę się teraz pilnie

polskiego, chciałbym już wszystko nareszcie rozumieć. Polska jest z wielu narodów najbardziej interesującym krajem dla Litwina — kończy redaktor Gustainis. — To zdaje się wszystko, co by pana mogło interesować.

✱

— Warszawa to dla nas bardzo ważna placówka — mówi G. Jouve, korespondent francuskiej agencji Havasa. Obsługujemy bowiem oprócz Francji całą Amerykę Południową i Daleki Wschód.

Mój rozmówca to typ młodego uzonego, studjował w Niemczech filologję, przez dłuższy czas mieszkał w Berlinie.

— Przygotowywałem pracę o niemieckim ruchu racjonalistycznym, ale musiałem przerwać — dodaje redaktor Jouve z uśmiechem. — Racjonalizacja przyszła zupełnie niespodziewanie z innej strony. — Uważam — ciągnie dalej — że filologja to najlepsze przygotowanie dla pracy dziennikarskiej, wyrabia należyty obiektywizm, konieczne wyczucie dystansu. W służbę Havasa wstąpiłem w 1931 r. po wielkiej reorganizacji. Przez pewien czas byłem zastępcą korespondenta w Berlinie. Jak się okazało, że coś umiem, wysłano mnie do Budapesztu. Tam już pracowałem samodzielnie.



Red. Redfern

nie. Z Budapesztu, odkomenderowano" mnie do Warszawy.

Muszę w tem miejscu dodać, że redaktora Jouve'u, „odkomenderowano" wraz ze świeżo zaślubioną małżonką, niezwykle przystojną Węgierką.

— Przyjechałem w dość ciężkim okresie... Żyrardów, ale jakoś poszło.

— Jakie wydarzenie w Polsce przysporzyło panu, najwięcej pracy?

Chwila namysłu.

— Śmierć Marszałka. W tę pamiętną noc dyktowałem przez telefon z małymi przerwami od godz. 10 wiecz. do godz. 4 nad ranem. Przez trzy dni około 20 godzin.

Nagle telefon przerywa nam rozmowę. Halo! Berlin. Redaktor Jouve krzyczy do słuchawki:

— Uważajcie minister Beek będzie po drodze z Genewy jutro popołudniu w Berlinie. Podajecie mi natychmiast, kiedy znowu opuści Berlin w dalszą drogę. To wszystko. Co słychać? Macie coś nowego o Abisynji?

Berliński korespondent referuje swemu warszawskiemu koledze najświeższe wiadomości z placu boju.

✱

Dr. Gerhard Thimm reprezentuje olbrzymi koncern niemiecki Ullstein Verlag. Niemiec urodzony w Poznaniu, nie od dzisiaj zna naszą stolicę.

— Pierwszy raz byłem w Warszawie podczas wojny w 1918 r., zostałem odkomenderowany z frontu zachodniego na kurs oficerski do Jabłonn. We wrześniu 1918 r. miałem, jeśli to tak można nazwać, spotkanie z Józefem Piłsudskim. Stałem na warcie przed gmachem obecnego Prezydium Rady Ministrów. Józef Piłsudski miał przybyć na konferencję z komendantem naszej Podchorążówki. Nie wiedziałem jeszcze wtedy nic o Józefie Piłsudskim. Byłem wrogiem. Gdy go jednak zobaczyłem, wśród tłumów wiwatujących na Jego cześć, zasalutowałem mimowolnie, kiedy przechodził obok mnie. Piłsudski rzucił mi krótkie spojrzenie, wcale nie wrogie i odsalutował. Od tego czasu żywiłem dla tego Wielkiego Człowieka nie tylko szacunek ale i sympatię. Piętnaście lat później, w 1933 r. przyjechałem drugi raz do Polski. Nie przypuszczałem jeszcze wtedy, że przywędruję tu na stałe.

Dr. Thimm uchodzi wśród swoich kolegów-korespondentów za wielkiego znawcę kobiet. Niejednokrotnie drukował w B. Z. Mittag artykuły o polskiej kobiecie. Stawiam więc pytanie:

— Jak się panu podobają Polki, panie redaktorze?

Odpowiedź cytuję dosłownie:

— *Die polnischen Frauen? Sie werden von den polnischen Männern schon genug verwöhnt. Deshalb möchte ich nur ein Wort sagen, und zwar auf polnisch. Śliczne!* — Polki? Są już i tak dość rozpieszczone przez Polaków, dlatego powiem tylko jedno słowo i to po polsku:

— Śliczne!

✱

Redaktor Redfern jest korespondentem słynnego Londyńskiego Timesa, New York Herolda Tribune i tygodnika The Economist. Do Polski przyjechał w 1927 r. Pierwszy okres to kilkuletnia praca w ambasadzie amerykańskiej w charakterze attaché handlowego.

— Wróciłem jednak do pierwszej miłości. W mojem rodzinem mieście Manchesterze współpracowałem już kiedyś w redakcji największego angielskiego dziennika prowincjonalnego Manchester Guardian.

Redaktor Redfern urodził się wprawdzie

w Anglii, jest jednak obywatelem amerykańskim, yankesem w każdym calu.

— Polska jest dla nas — redaktor Redfern rozmawia ze mną po niemiecku, akcentując poszczególne słowa typowo po amerykańsku — krajem niezwykle interesującym. W Anglii nazywają Polskę Key-Country (kluczowe państwo). Times drukuje bardzo dużo o Polsce. Podaję prawie codziennie telefoniczne sprawozdania, które, o ile nie zostają publikowane, są podstawą, materiałem do redakcyjnych artykułów politycznych, w których celiuje Times. Timesa znajdzie pan na biurku wszystkich prezydentów i premierów świata. Nie jest wprawdzie gazetą „man of the street“ (szarego człowieka) kosztuje dwa razy więcej od każdej innej gazety angielskiej. Nakład 200.000 egzemplarzy.

— *J'ai beaucoup de sympathie pour la Pologne* — przechodzimy na francuski — szkoda jednak, że tak trudno zdobyć korespondentowi zaufanie władz. Trzeba na to długiego czasu, kilku lat. Bardzo to nam utrudnia pracę.

✱

Vlastimir Maresch, korespondent jugosłowiańskiej agencji Avala, przebywa w Polsce od lat dwunastu. Przyjechał w 1923 r. jako korespondent gazet zagrzebskich i belgradzkich.

— Podobalo mi się, no i jakoś zostałem — śmieje się. — W roku 1930 zostałem mianowany attaché prasowym poselstwa jugosłowiańskiego. Moja agencja współpracuje na zasadzie ogólnoeuropejskiej konwencji agencji prasowych z P. A. Tem, tak, że ja właściwie tylko uzupełniam niektóre wiadomości, bardziej nas interesujące.

Redaktor Maresch świetnie mówi po polsku. Z wielkim entuzjazmem mówi o Polsce. Miał sposobność przekonać się w ciągu dwunastu lat jakie olbrzymie postępy uczyniliśmy w każdej dziedzinie. Podróżował dużo po kraju, zna każde miasto i miasteczko. Sypią się komplementy i pochwały. W pewnej chwili wydaje mi się to jednak podejrzane, zniemka pytam:

— Panie radeo, czy przypadkowo żona pana nie jest Polką?

— Tak.

No, teraz już wszystko rozumiem.

✱

A. Cotrus, korespondent rumuńskiej agencji Rador, słynny poeta, jest równocześnie attaché prasowym poselstwa rumuńskiego. Re-

daktor Cotrus pochodzi z Siedmiogrodu, piastował tam stanowisko prezesa Syndykatu Dziennikarzy Rumuńskich. W Warszawie jest od 3 lat. Zna doskonale nasz świat literacki.

— U pani Zofji Nalkowskiej poznałem Michała Choromańskiego — mówi — już sporo czasu temu. Choromański był jeszcze nieznanym pisarzem a Zofja Nalkowska przepowiedała mu już wtedy dużą przyszłość. Polubiłszy się bardzo. Mielśmy nawet wspólnie przetłumaczyć Antologję Liryki Rumuńskiej na język... rosyjski. Szkoda, jakoś do tego nie doszło.

— Co pan ostatnio napisał? — pytam nie dziennikarza, lecz poetę Cotrusa.

— Przetłumaczyłem sporo wierszy polskich, bardzo się u nas podobał wiersz Tuwima o Marszałku Piłsudskim.

Szuka czegoś w szufladzie. Wyjmuje białą oprawę książkę.

— W tym roku napisałem poemat pod tytułem „Horja“. Jest to rapsod o chłopie siedmiogrodzkim z czasów rewolucji przeciwko Węgrom w 1784 r.

Oglądam książkę. Ku mojemu zdziwieniu konstatuję, że została wydrukowana w Warszawie. Dowiaduję się, że to nie pierwszy wypadek. Poemat „*Printe Danem in Meris*“ został również wydany w Polsce.

Vlastimir Maresch



— Zegadłowicz polecił mi tę drukarnię — mówi redaktor Cotrus — poznałem go w Poznaniu. W sześć miesięcy później Zegadłowicz wydał tematy rumuńskie. Byłem razem z nim w Rumunii. Został przyjęty przez ówczesnego premiera, prof. Jorgę. To świetny poeta i bardzo dobry przyjaciel. Jaka szkoda, że nie mogę przeczytać jego nowej książki, nie umiem na tyle po polsku. A słyszałem, że to prawdziwa sensacja — kończy z uśmiechem redaktor Cotrus, równie świetny poeta jak i wypróbowany przyjaciel Polski.

*

Last not least dr. Wołkowyski, korespondent rosyjskiego dziennika „Sewodnia“, wychodzącego w Rydze. W Rosji był redaktorem dziennika „Birżewyja Wiedomości“.

Zadaję pytanie teoretyczne:

— Na czym polega praca korespondenta?

— Dziennikarstwo nowoczesne zniosło granicę pomiędzy publicystą, a reporterem, stało się syntezą publicysty i reportera. Naprzykład Pertinax, Theodor Wolff, asy dziennikarstwa, dają w swoich artykułach nowe szczegóły, nowe wiadomości. Artykuły ich nie są więcej refleksjami na temat znanych już wydarzeń. Praca korespondenta polega na podaniu informacji w publicystycznym ujęciu. Reporter po-

lityczny musi być obecnie również publicystą. Z drugiej strony publicysta polityczny powinien być również reporterem. Przy tempie obecnego życia czytelnik nie ma ani chęci, ani czasu na czytanie artykułów teoretycznych, które nie przyniosłyby nowych danych, nowych wiadomości. Tempo życia jest tak szybkie, że oświecenie teoretyczne pewnej sprawy staje się przestarzałe przez wydarzenia dnia następnego. To wszystko wpływa na pracę korespondenta, wszystko jedno czy podaje on swoje wiadomości telefonicznie, czy też listownie. Zadanie korespondenta polega na oddaniu klimatu, udostępnieniu swemu czytelnikowi atmosfery kraju, w którym pracuje. Pisz o polskim teatrze, o polityce, o polskiej literaturze, a nawet o sporcie. Czytelnik otrzymuje przez radio i telegramy istotne wiadomości. Korespondent stwarza obraz oparty na tych wiadomościach i w ten sposób zaznajamia swego czytelnika z krajem, w którym przebywa.

Dr. Wołkowyski ma niezwykle ciekawą kolekcję listów. Znajduję tam listy z Kalifornii, od Związku literatów rosyjskich, od Aldanowa z Paryża, od Dioneo, który razem z Piłsudskim odbywał karę na Syberji (Dioneo zmarł niedawno w Londynie) od Chodasiewicza i wielu, wielu innych sławnych literatów, polityków i dziennikarzy.

Zdzisław Bau

A. C o t r u s



Dr. M. Wołkowyski





Gail Patrick

Fot. Paramount

Duma Ilonki Bogar



Ilonkę Bogar wszystkie idący na spacer do lasu spotykali przy drodze. Siedziała na piuku na uboczu; gdy zdaleka dostrzegała idących, wstawiała i szła w ich stronę.

— Taka jestem biedna... mieszkam w lesie, proszę o parę groszy na kawałek chleba — powtarzała zawsze wółko to samo, cienkim głosikiem, napierając się uparcie. Wyciągała przytem chudą, brudną rękę.

Wygląd zewnętrzny Ilonki Bogar najłatwiej określić powiedzeniem: „nie do opisania“. Bo czyż mam nazwać jej nogi — tyczkami, ręce — prętami, twarzyczkę — twarzą starca, włosy — pakułami konopnemi? Może zresztą niezbyt dobrze jej się przyjrzałem; na jej obraz cielesny oczy moje przymykały się jakby od wewnątrz. Najwyraźniej pauiętały jej wzrok: ciepłe spojrzenie dziwnych, nieruchomych, piwnych oczu. I to także, że twarz jej wydała mi się jakaś smutna.

Gdy dostawała pieniądze, szybko rzucała spojrzenie spod oka na dłoń, odwracała się nagle i uciekała, bojąc się jakby, że ofiarodawca zażąda zwrotu

jałmużny. Coprawda często ją ludzie zatrzymywali, wołając ją spowrotem. Wówczas Hlonka Bogar stawiała przeżoną: mrugając oczami, badawczo i nieufnie patrzyła na wołającego, wreszcie powoli, chyłkiem podchodziła, każdej chwili gotowa do ucieczki. Kiedy się już przekonała, że pieniędzy nikt jej nie odbierze, zaczynała dziwnym, cienkim głosikiem powoli i po długim namyśle odpowiadać na zadawane jej pytania: że „skończy jesienią trzynaste lat“, że „tylko latem i w dzień“ mieszka w lesie, a w nocy i zimą na wsi, u ciotki Bori, że ciotka Bori „chodzi po prośbie“, że ojca jej „jeszcze zeszłego roku drzewo przywaliło“, że matka jej „już dawno umarła“, że miała brata, „ale on także dawno umarł“, że do szkoły „kiedyś chodziła“, że umie czytać, ale pisać niebardzo, że latem często jada owoce morw, rosnących przy szosie, że u ciotki Bori czasem dostaje kartoflanek, kawałek chleba i czarną kawę, ale naturalnie nie codziennie i nie wszystko od razu, tylko raz to, raz tamto, że bardzo lubi marchew i pietruszkę, które od czasu do czasu wyciąga z ziemi w ogrodach warzywnych, że mięso już nawet raz kiedyś jadła, ale bardzo dawno, że kąpała się w życiu dwa razy: raz w rzece, ale woda była strasznie zimna, a drugi raz kiedy spadła z gruszki i złamała rękę, a ksiądz kazał ją odwieźć do dzieciennego szpitala w K. Wtedy także pierwszy i ostatni raz w życiu jechała chłopskim wozem. Pozatem, z ponurym wyrazem twarzy, twierdziła, że to nie ciotka Bori wysyła ją „po prośbie“ — sama idzie, bo „pieniądze potrzebne są na chleb“.

*

Z miejscowości K. przyjechała także na letnisko pani Kiss, żona technika dentyśczonego. Oczywiście „nie dla własnej przyjemności“ tylko dla dzieci, a przede wszystkim dla biednego Olesia, który ma już sześć lat, a od trzech lat choruje: nie chodzi, niestety jest do pasa sparaliżowany, trzeba go wozić. I w głowie też, biedaczek, ma nie

wszystko w porządku. Pani Kiss zamieszkała w domku z ogródkiem; gotowała, zmywała garnki, sprzątała, prala i prasowała, starając się czysto utrzymywać dzieci. Oleś cały dzień leżał w ogrodzie, w cieniu orzechów, w wózku.

Przy nim było najwięcej roboty! Wszystkiego tego razem było za wiele dla wątłej kobiety, która po jedenaścimiesięcznem harowaniu miała ochotę „leż trochę odetchnąć“. Trójka starszych dzieci cały dzień skacze, krzyczy, bije się; Oleś apatycznie leży w wózku, od czasu do czasu tylko dając znak życia przeciągłym, piskliwym, zwierzęcym krzykiem lub nagle wybucha gniewnym, gwałtownym płaczem. „Żeby tak mieć choć jakąś pomoc na ten krótki okres lata“...

I przypadkiem znalazła się pomoc. Pani Kiss, idąc na spacer, i powoli, z trudem pchając wózek z Olesiem, spotkała pewnego razu Hlonkę Bogar. Dała jej dwa grosze i zaczęła z nią rozmawiać: wypytowała ją i słuchała jej odpowiedzi. Rozmowa skończyła się w ten sposób, że pani Kiss od razu tam, na leśnej drodze, „zgodziła“ Hlonkę Bogar za „nianie“ do swego Olesia. Nie łatwo sobie wyobrazić, że Hlonka Bogar od razu zrozumiała, czego od niej chce ta obca pani. I to także zostanie tajemnicą, co popchnęło Hlonkę do natychmiastowego udania się z ową panią do jej mieszkania. Fakt jednak, że poszła z nią i że w powrotnej drodze do domu już ona pchała wózek Olesia, z ręcznikiem, uważnie i z poważną miną, „gaworząc“ przytem z małym idjotą pociechu, mówiąc mu jakieś niezrozumiałe słowa, a raczej dźwięki. Oleś z początku patrzył przerażonymi, szeroko otwartymi, niebieskimi oczami na tego „kogoś“ przy wózku, kogoś dziwnego i obcego, wkońcu jednak roześmiał się głośno, beczącym głosem.

— Śmieje się! — oświadczyła wówczas Hlonka Bogar z powagą, wskazując na chłopca, przypisując temu zdarzeniu olbrzymie znaczenie.

Pani Kiss, głęboko wzruszona, patrzyła na nich bez słowa. Chłopezyk

roześmiał się po raz pierwszy od chwili, gdy został tknięty paraliżem.

*

Wróciwszy do domu, pani Kiss wyniosła na podwórze ceber, nalała doń ciepłej wody, kazała Ilonce rozebrać się, wejść do wody, i przez pół godziny szorowała ją szczotką i mydłem. Potem w gorącej wodzie z sodą i octem umyła jej głowę, oczyściła włosy z robactwa i uczesała ją. Wreszcie przyniosła zaciasną sukienkę swej córki Zosi, parę swoich zniszczonych bucików i ubrała w to wszystko Ilonkę. Stare jej łachmany zawinęła w papier i schowała na strychu. Na kolację Ilonka Bogar dostała pełny talerz fasoli, cienki, tłusty kawałek zimnej ciętłeciny i ciastko z makiem. W pierwszej chwili po zjedzeniu zrobiło jej się niedobrze, miała zawroty głowy i jęczała nawet, wnet jej to jednak przeszło i czuła się już zupełnie dobrze.

Wykąpana, nakarmiona, wyspana na sienniku, następnego dnia, ubrana jak prawdziwa bona, zjawiła się Ilonka Bogar z Olesiem w parku. Z dumą popychała wózek przed sobą, cały czas gadając do chłopca, który patrzył na nią obojętnem spojrzeniem smutnych, błękitnych oczu. W parku bony, niańki, guwernantki i matki ze zdziwieniem przyglądały się tej niezwykłej parze. W chwilę potem już wszystkie wiedziały, jak należy się wobec nich zachować: trzeba zdaleka omijać tego „chorego chłopaka z tą służącą“, w której wiele osób odrazu poznało małą żebraczkę spod lasu. Nikt nie powinien siadać na ławce, gdzie oni siadają; jakaś przesądna niania „odwróciła się i splunęła“ kiedy ich spostrzegła.

To, że ich unikają, nie speszyło bynajmniej Ilonki Bogar: nawet tego nie zauważyła; zupełnie też nie rozumiała tego, że w oczach zdrowych dzieci i lepiej uhranych służących są czemś w rodzaju zapowietrzonych. Ilonka Bogar z dumą usiadła na ławce, kołysząc wózek chudemi nogami w zbyt dużych pantoflach; patrzyła na Olesia, coś do niego

mówiła, poprawiała mu poduszeczkę pod głowę, znowu coś mówiła, wreszcie zaczęła spacerować z nim, bez przerwy nucąc coś lub opowiadając. Oleś bez słowa wpatrywał się w nią, jak w jakieś osobliwe zjawisko.

Nadeszła pora obiadu: pani Kiss, bardziej wypoczęta niż wczoraj, przysłała do parku i zabrała ich do domu. Sprawdziła, że wszystko jest w porządku, i pochwaliła Ilonkę. Mała milezała, dopiero po długiej chwili odezwała się mruklawie, z niezadowolaniem:

— Nie śmiał się ani razu!

I rzuciła Olesowi smutne, pełne wyrzutu spojrzenie.

*

Nie, Oleś Kiss nie śmiał się. Lecz Ilonka Bogar wywiązywała się jaknajlepiej z włożonych na nią obowiązków. Była przy nim cały dzień, pieściła go, opiekowała się nim, odchodząc tylko wtedy, gdy pani Kiss potrzebowała jej pomocy. W robotach przy gospodarstwie Ilonka okazała się pojętna, zręczna i pracowita. Pani Kiss z zadowoleniem opowiadała swej sąsiadce, pani Nagy, że „ta dziewczyna to prawdziwy dar boski“, że skoro już warunki nie pozwalają na trzymanie „porządnej“ służącej, to ta dziewczyna jest jej niezwykle pomocna. Przyrzekła nawet Ilonce, że jeśli się będzie dobrze sprawować przez lato, to zabierze ją ze sobą na zimę do K., że nawet da jej pensję — cztery pengö miesięcznie — ubranie i buciki. Ilonka Bogar spojrzała na nią osłupiała, zacierwieniła się i przyrzekła sprawować się dobrze. I rzeczywiście sprawowała się zupełnie dobrze. Codzień rano myła twarz, czterzy razy dziennie myła ręce, rano i wieczorem starym, z powyłamywanymi zębami, rogowym grzebieniem czesała włosy, w niedzielę rano grzała wodę i w obdrapaniej misce myła nogi, wieczorem czyściła sukienkę i buciki i uszczęśliwiona zjadła olbrzymie porcje gęstych zup i różnych innych potraw, o istnieniu których nigdy dotąd nawet nie słyszała. Poza tem wszystkiem ubóstwiała chorego chłopczyka, często się jej nawet śnił; nieraz myślała, że

obecne jej życie jest piękne, lecz jakże chętnie oddałaby życie, byle tylko Oleś roześmiał się raz jeszcze.

*

Pewnego dnia na placu zabaw w parku zmontowano jakieś dziwne rusztowanie: z lśniącej, żółtej, drewnianej podstawy wznosił się wgórę żelazny słup, dokoła którego były przymocowane ruchome niebieskie, żółte, czerwone i zielone krzeselka. Dzieci z radośnym krzykiem rzuciły się do karuzeli; okrzyki radości słychać było daleko dokoła. Karuzela kręciła się bez przerwy, a dzieci dobijały się o miejsca.

Honka Bogar przyszła z Olesiem weześnie popołudniu. Już zdaleka doleciał ją gwar wesołości, nie wiedziała jednak, co to być może. Kiedy stanęła na placu i ujrzała zbitą gromadę dzieci, sądziła, że coś się stało. Nieśmiało postąpiła jeszcze krok; kiedy przekonała się, że przyczyną gwaru jest nie płacz, lecz radość i śmiech, odważyła się przysunąć wózek jeszcze trochę bliżej. Teraz dopiero zobaczyła karuzelę. Stała zdumiona: nie wiedziała, co to jest. Gapiła się szeroko rozwartymi oczami, a dzieciaki śmiejąc się i hałasując jeździły dokoła. Nagle Honka Bogar, pochłonięta nieznanym jej dotąd widokiem, zapomniała, że obok niej stoi wózek, a w nim chory Oleś: zapatrzyła się na dzieci, hałaśliwie sprzeczące się o miejsca. Patrzyła na nie tak, jak zgłodniały oczami pożera kawał suchego chleba.

Zostawiła wózek i podeszła do karuzeli.

— Ja też chcę się pobawić... — rzuciła błagalnym, smutnym tonem.

Dzieci obrzuciły ją wrogimi spojrzzeniami. Jedne pamiętając uwagi opiekunek, inne poprostu instynktownie odsuwały się od niej. Jeden tylko chłopczyk okazał się odważny.

— Odejdź stąd! — krzyknął na nią surowo.

Honka utkwiała w nim tępe spojrzenie.

— Nie pójde... chcę się też bawić... — odpowiedziała cicho i z powagą, podchodząc do karuzeli.

— Wyniesiesz się stąd? — krzyczał chłopak, zagradzając jej drogę.

— Kiedy ja chcę się przejechać — powtórzyła Honka z pragnieniem i nieustępliwym uporem w głosie.

Chłopak patrzył na nią jakby nad czymś myśląc, naraz na twarzy jego ukazał się złośliwy tajony uśmieszek. Usunął wszystkie dzieci z karuzeli, dał znak Honce, by usiadła. Nieśmiało i ostrożnie podeszła do jednego z krzeselek, dotknęła poręczy, usiadła, pełnym łęku głosem pytając:

— A wy nie pojedziecie?

— Ruszać! — rzucił w tej chwili odważny chłopak rozkazującym tonem.

Reszta chłopców zrozumiała jego intencje; puścili w ruch karuzelę. Ruszyła wolno. Honka siedziała w małym niebieskim krzeselku; odchyliła głowę trochę wtył i przyniknąwszy oczy uśmiechała się. Twarz jej promieniała niezwykłą radością. Chłopcy zresztą obracali karuzelę: kręciła się coraz szybciej. Minuta, dwie minuty... Naraz Honka Bogar otworzyła oczy.

— Dostę! — powiedziała głośno.

Odważny chłopak roześmiał się:

— Dalej chłopcy! Naprzód, jeszcze prędzej!

— Dostę! — krzyczała Honka. — Ja chcę już wysiąść!

Chłopcy śmiejąc się obracali dalej karuzelę. Teraz już wszystkie dzieci się śmiały, wtórowały im nawet niektóre bony i guwernantki. Na twarzach marlowało się zadowolenie ze „świątecznego kawału“, a nawet uśmiej instynktownego, podświadomego dziecięcego sadyzmu, objawiający się tak często w dręczeniu zwierząt.

— Oj! — krzyczała Honka Bogar, kurezowo trzymając się poręczy krzeselka. — Oj, dostę już, dostę!

Ale karuzela wirowała dalej; płac trząsł się od głośnego, złośliwego, szyderczego śmiechu.

Głowa Honki Bogar opadła na pierś; zdawało się, że dziewczyna łada chwila spadnie. Naresze chłopcy puścili karuzelę. Zaczęła zwalniać, naresze stanęła. Honka, blada jak ściana, chwilę jeszcze siedziała na krze-

sełku, potem z trudem podniosła się, zataczając się poszła dwa kroki na-przód i znowu stanęła.

— Oj, oj, oj... — jęknęła ledwie do-słyszalnym szeptem. — Umieram...

Zrobiło jej się niedobrze, strasznie niedobrze... Umazała sobie twarz, ręce, sukienkę, bućki. Gromada dzieci ze strachem i wstrętem rozbiegła się; na-raz zaległa cisza. Słychać było tylko jeden jedyny śmiejący się głos. Hlonka, słysząc te nieartykułowane, beczące dźwięki, oprzytomniała nieco i spoj-rzała w stronę, skąd słychać było śmiech. Szeroko rozwarła źrenice: wol-nym krokiem podeszła do wózka.

— Ty się ze mnie śmiejesz?... — spytała cicho i z żalem, wspierając się na poręczy wózka ułomnego malea.

*

Pani Kiss, zmęczona poranną pracą w domu, spała jeszcze w pokoju z opu-szczonemi roletami, kiedy Hlonka Bo-gar o tak niezwyklej porze wróciła do domu i ustawiła wózek z Olesiem w cie-niu orzecha. Oleś nie śmiał się już: z obojętnością idjoty patrzył przed sie-bie. Hlonka pobiegła na strych i przy-niosła zawiniętą w gazetę paczkę; w kuchni zrzuciła z siebie ciasną su-kienkę Zosi i znoszone pantofle pani Kiss, przebrała się szybko w stare lach-many. Na strychu wysmarowała twarz,

ręce i nogi, szybko przebicając się, rozłargała włosy. Nieśmiałym i niepew-nym krokiem wysunęła się z ogródka, uparcie odwracając głowę od orzecha.

*

W parę dni potem pani Kiss spotkała Hlonkę Bogar na dawnym miejscu w le-się. Znowu zebrała.

— Kiedy ich zauważyła — opowia-dała pani Kiss — zerwała się z miejsca i szybko zaczęła uciekać, ta „nie-wdzięcznica“, nawet się nie obejrzała w ich stronę. Bo „taka“ — opowiadała dalej pani Kiss — czegoż dla niej nie zrobić, zawsze już taką zostanie; spro-wadzić ją na lepszą drogę lub chcieć jej pomóc — niepodobna.

I ja spotkałem raz jeszcze Hlonkę Bo-gar. Spytałem, dlaczego uciekła od pa-ni Kiss, gdzie ją traktowano tak do-brze. Hlonka spojrzała na mnie nieuf-nie, mrugając oczami; długo milczała zamysłona, niezdecydowana. Wreszcie do długiej chwili odpowiedziała rwą-cym się, cichym, ale stanowczym tonem:

— Dlatego... że... ja też mam swoją dumę...

Odwróciła się gwałtownym ruchem i powoli odeszła.

Kiedy patrzyłem za odchodzącą, wy-dało mi się nagle, że drobna jej postać, odziana w lachmany, rośnie do nad-ludzkich wymiarów.

Przekł. aut. Rezső Sillei



KSIĘŻYC

Capablanka wiedzy tajemnej,
krągłolicy księżyc pyzaty
przyszedł do mnie nocą bezsenną,
by rozstrzygnąć problem grą w szachy.

Narysował w pokoju szachownicę,
grzechy moje wstawił w jasne pola
— kazał grać o prawo do życia,
tłustym strachem zatkał gardło, bym nie wołał.

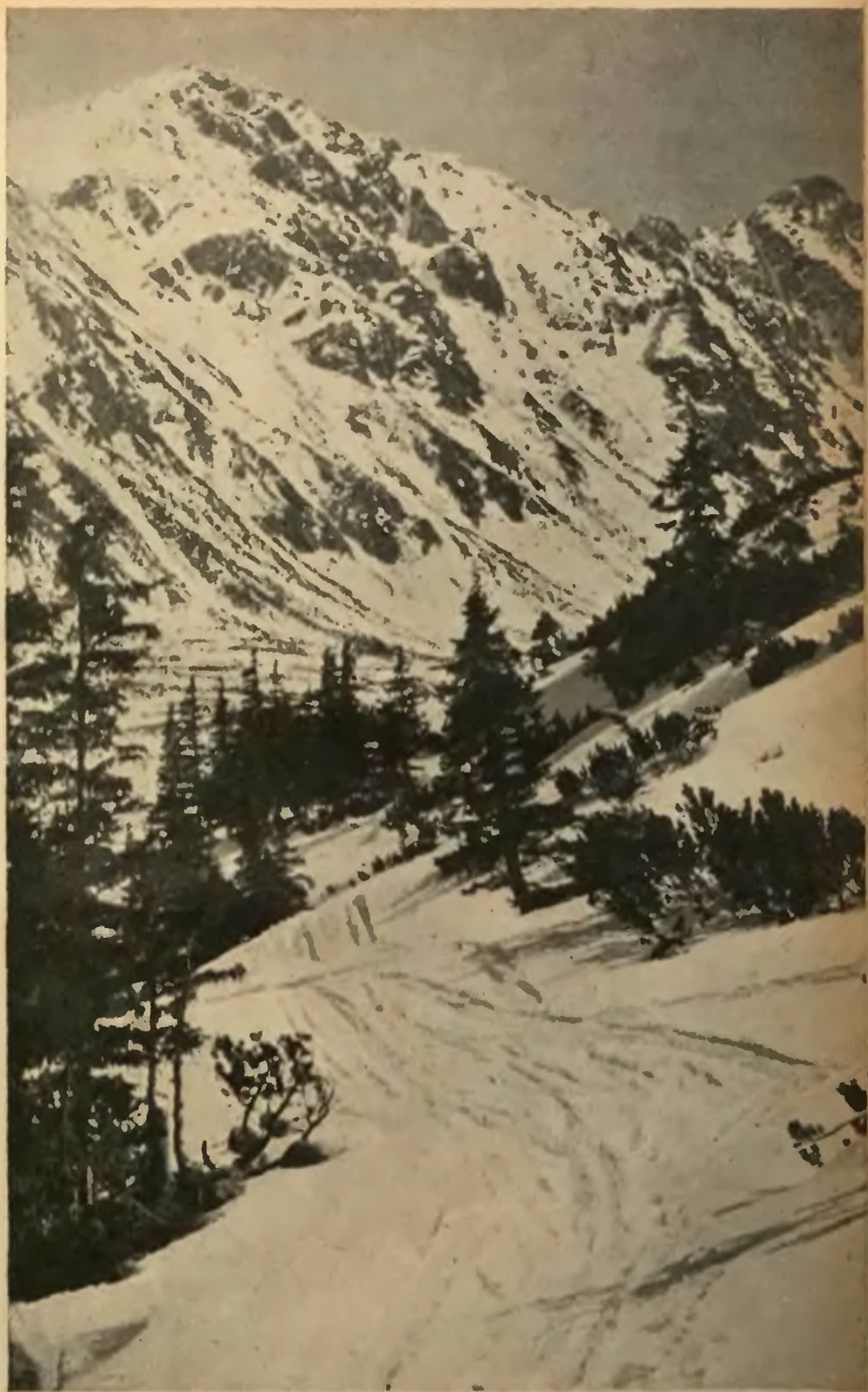
Okna zamknął więzienną kratą,
na pół ściany zaczął partję hiszpańską,
szeptał cicho — kradniesz i kłamiesz...
— zasłoniłem się z trudem firanką.

Ruchem konia podstępnie zabiegał,
prześliznął się chyłkiem na podłogę
— kiedy chciałem się bronić obrazem,
przypomniał — że cudzołożę.

Pełznął do mnie uparcie po ziemi,
syczał: — Bluźnisz, jesteś tchórzem, zabijasz...
— Zabrał krzesło i stołową nogę
i ciągle powoli się zbliżał.

Wreszcie wylazł z za ramy okiennej
spuchnięty i trupio blady —
wieżą światła martwego mnie przygniótł,
żebym nie mógł zrobić roszady.

W szybach rozparł się zimny i groźny.
— Jużbym przegrał tę grę o życie —
nic nie miałem na swoją obronę,
ale zabił go cień na suficie.



Pierwszy śnieg w górach



WIEŚ BOA



NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH UKAŻE SIĘ
NIEBAWEM — NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGAR-
NI WOJSKOWEJ — KSIĄŻKA JANUSZA MA-
KARCZYKA, Z POBYTU W AFRYCE ZACH-
P. T. LIBERYJCZYK, LIBERYJKA, LIBERIA.
UMIESZCZAMY JEDEN Z ROZDZIAŁÓW

START

do
wielkiego
przemysłu

Momogri spełniał przy mojej oso-
bie podwójną rolę: był przewod-
nikiem, a poza tem otrzymał od
Rządu Liberji dyskretną misję baczzenia
na to, czem będę interesować się w dro-
dze. Znakomity ten wywiadowca sam
mi o tem powiedział, że z naszej podró-
ży pisze raport, i nawet w dowód zau-
fania dał mi go do przeczytania.

Po kilku dniach forsownego marszu
stanęliśmy we wsi Ba. Spotkałem tam
szefa wioski Boa — Dziaffa Goba-Gola,
który mi tak długo tłumaczył, że nie
mogę wyjechać z Liberji nie zwiedziw-
szy Boa — dopóki nie uległem wreszcie
jego namowom.



JOE DONS

Podróż była łatwa, bo i Ba i Boa leżą nad Little Cap Mount. Wyruszyliśmy łecintkim kanakiem; Momogri z bagażem i tragarzami płynął ciężką łodzią za nami.

Szef Dziaffa Gbbla-Gblla okazał się interesującym człowiekiem; opowiadał dużo o innowacjach, jakie zaprowadził u siebie. Założył sklep, w którym wszyscy mieszkańcy mają obowiązek kupować i sprzedawać swe produkty. Hurtownikiem jest oczywiście sam szef i on zajmuje się dalszą sprzedażą produktów swego dystryktu do stolicy.

Po raz pierwszy w Liberji usłyszałem słowo „uprzemysłowienie“. Nie umia-

łem ukryć swego zdziwienia. Dziaffa Gbbla-Gblla uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział: — Zobaczysz pan.

Przyznaję, że długo przemysliwałem nad tem, co można było uprzemysłowić we wsi Boa. W całej Liberji przemysłu rodzimego niema, wogóle w Afryce Zachodniej, o jakimkolwiek przemyśle mówić nie można a tu nagle w Boa...

Po dwóch godzinach przybiliśmy do kładki, skąd stroma droga prowadziła w górę. Szef z dumą wskazał mi tablicę, na której wypisana była nazwa miejscowości. Nie omieszkalem wyrazić zachwytu spowodu tak nowego i pomysłowego oznaczenia „stacji wodnej“.

Boa jest wsią okazałą. Charakterystyczne dla przeciwnego brzegu, okrągłe kazy murzyńskie, ustąpiły tu miejsca czworokątnym domom, uszeregowanym wzdłuż ulicy, rozszerzającej się w połowie długości w coś w rodzaju rynku, na którym w okrągłej altanie pracują kobiety.

Sklep — дума szefa — dał mi okazję do wypowiedzenia wielu słów uznania, ciekaw jednak byłem przedewszystkiem owego zakładu przemysłowego. Szef nie wystawiał już mojej cierpliwości na dalszą próbę. Ruszyliśmy w bok od wsi, idąc spory kawał drogi przez pola trzciny cukrowej.

— Oto tu.

Wskazał mi szopę i obok niej kierat, który pracowicie obracało sześciu polnagich murzynów. W pierwszej chwili nie mogłem nawet domyślić się, co właściwie ci dobrzy ludzie robią, po jakimś czasie dopiero zdołałem się zorjentować, że kierat obracał tryby, które miażdżyły trzcinę cukrową, wytłaczając z niej sok do podstawionych rynien. Aparat destylacyjny w szopie wythumaczył mi resztę. Moja ciekawość została zaspokojona — szef Dziaffa uprzemysłowił swą wieś. START do wielkiego przemysłu Liberji polegał na pędzeniu wódki z trzciny cukrowej.

Wódka była mocna i miała miły aromat.

— Z całego kraju przychodzą ludzie do Boa kupować rum i do Monrowji



WYPRAWA DO BOA

MOMOGRI

dużo sprzedajemy. Boa jest wielkim centrum handlowym.

Koło szopy zjawił się stary mulat.

— To jest Joe Dons — przedstawił mi go szef.

Okazało się, że pomysł pędzenia wódki był własnością pana Dons.

— Pan jest Polakiem? — zapytał mnie mulat — miałem kolegę Polaka — wykrztusił jakieś niemożliwie przekręcone nazwisko.

— Gdzie?

— W Paryżu, w Ecole Normale de Musique. Studjowałem w klasie fortepianowej.

— A teraz pędzi pan wódkę w Boa?

— A tak, niezbadane są koleje losu, teraz, rzecz prosta, niemam nawet fortepianu. A wszystko przez kobietę. Kochałem się w Francuzce. Żyliśmy spokojnie i szczęśliwie, nawet jeden z pana rodaków bywał często u nas. Potem ona wyjechała na *tournee* i nie wróciła już więcej. Miała bardzo dobry numer cyrkowy. Nie wróciła już i napisała mi list bardzo przykry; były tam mało wykwintne aluzje do koloru mojej skóry — *caffe au lait*. Wtedy powiedziałem sobie, że mam dosyć cywilizacji, białych ludzi i wyjechałem do Liberji. Miałem do wyboru tylko Abisynję i Liberję. Nie chciałem wracać do siebie na Jamaikę. Tam też są białe kobiety. I teraz, zamiast koncertować w Europie, pracuję w mojej przybranej ojczyźnie.

— Nie żal panu Europy?

— Muzyki mi żal, a Europy... Przyzwyczaiłem się do wsi Boa, do mojego zajęcia, ale muzyki... kocham Chopina, to wielki kompozytor — Polak — prawda?



BOA'ANKA

— Tak.

— Czasem posłuchałbym chętnie. Ale cóż? Tu nawet radja nie można mieć, za duże wyładowania atmosferyczne, a zresztą skąd brać baterje?

Po chwili muzykalny destylator rumu odezwał się znowu.

— Pana rodak namawiał mnie, abym pojechał z nim do Warszawy — podobno tam niema awersji do mulatów?

Nadszedł Momogri.

Gdy się dowiedział, że cały czas rozmawiałem z Joe Donsem po francusku, zasępił się. Najwidoczniej nie wiedział, co ma napisać w swoim raporcie o tej

kouwersacji. Wybawiłem go z kłopotu i podyktowałem do jego sprawozdania:

We wsi Boa, gość rządu liberyjskiego rozmawiał z Joe Donsem o kontrapunkcie i uzgodnił z nim pogląd na tę sprawę. Pozatem kosztował niejscowego rumu i wyraził się o jego smaku i działaniu z bardzo dużem uznaniem.

Momogri był zachwycony. Murzyn jest zawsze zachwycony, gdy może się popisać jakimś niecznanym wyrazem lub recytacją czegoś, czego sensu zupełnie nie rozumie.

Joe Dons mówił jeszcze o muzyce, a że nie zaniedbywał przy tem obowiązków i razporaz próbował swego rumu, rozmarzył się bardzo. Szef Dziaffa, informując mnie o niskich cenach kawy, też próbował czy rum nie zrobi wstydu wsi Boa, a że i Momogri wziął się do ekspertyzy trunku, odprowadzający mnie do łodzi towarzysze chwilieli się nieco na nogach.

— A teraz do Bombadji — powiedział Momogri zwalając się na spód łodzi.

Joe Dons kazał pozdrowić swego przyjaciela z Warszawy, którego prosi żeby do niego parę słów napisał. Przrzekłem ogłosić jego prośbę w prasie — czyń to.

Janusz Makarczyk

SKUTKI RUMU



fortuna Stanny Smitha

To poprostu nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Stanny Smith zrobił fortunę. I przed nim ludzie bogacili się, ale ludzie ci potrafili coś zrobić, czegoś dokazać. Zaczynali od sprzedawania gazet lub zapalek, ale koniec końców, albo wymyślili coś pożytecznego, albo wpadali na dobry pomysł.

Stanny Smith nie potrafił nic. Umysł jego nie był zdolny wymyśleć zatrasku do sukni, zapalniczki, yo-yo, wogóle niczego, co pcha naprzód cywilizację ludzką.

Pewnego dnia zjawił się na Broadway'u u największego agenta teatralnego i odepchnąwszy sekretarza, stanął przed obliczem pana Colberswiffa.

— Jestem Stanny Smith — powiedział głosem bardzo pewnym siebie — mogę zarobić razem z panem kupę pieniędzy, muszę tylko zmienić imię. Od dziś będę się nazywał John Smith. Rozumie pan John Smith jak ileś tam milionów ludzi tego imienia i nazwiska. Będę się pokazywał na scenie jako reprezentant Smithów, który nie umie ani śpiewać, ani deklamować, ani tańczyć. Nie gram na organkach, a twarz moja jest pospolita i nefotogeniczna. Imalem się wszystkich zawodów i nigdy nie z tego nie wychodziło. Nie potrafię do tego stopnia nic zrobić, że gdy się u nas w domu popsuła żarówka i ja zacząłem ją wykręcać spowodowałem krótkie spięcie. Nie umiem do tego stopnia nic, że już chciałem zostać krytykiem literackim, ale nawet do tego fachu okazałem się zbyt tępym. Ze szkół mnie wyrzucili, w sporcie byłem zerem, nie umiem ani kopać piłki, ani pływać, biegać nie mogę, ho dostaje zadyszki. Kobiety nie chcą na mnie patrzeć, ho, co łatwo sprawdzić, jestem brzydki jak deszczowa noc na krańcach miasta i mam brodawkę na nosie, która mi bynajmniej nie dodaje uroku.

— I co dalej? — zapytał agent.

— Dalej, gdzie przyjdę wyrzucają mnie za drzwi, gdzie dostanę posadę wszyscy się na mnie obrażają. Chcę komuś zrobić dobrze — wpędzam go w kłopot, chcę komuś zrobić na złość, to wtedy napewno ten ktoś robi karierę. Uśmiecham się do policjanta — zostaję zaaresztowany za obrazę władzy, przechodzę na drugą stronę ulicy, żaden samochód mnie nie stuknie i nie mogę dostać premji z asekuracji. Raz podstawiłem się pod lewy błotnik, w efekcie miałem rozdarte spodnie, a samochód jak się okazało należał do biedaka, który nie miał i nawet nie był zaasekurowany. Po załatwieniu spodni, wyprasowałem je, prasując spaliłem, teraz posiadam tylko jedną parę, tę, którą mam na sobie. Marynarki nie mam, zostawiłem ją u jednej znajomej i tak się składa, że nie mogę jej odebrać; chodzę w swetrze. Mam pecha i nie umiem, a mimo wszystko chcę dojść do milionów i żyć wygodnie. Aby mieć miljonu, trzeba mieć pierwszy miljon, aby mieć pierwszy miljon, trzeba zacząć go zbierać. Oto moja propozycja — pan jako agent teatralny wpuści mnie na scenę, a ja będę co wieczór mówił publiczności to, co panu powiedziałem. Nie więcej, bo na pamięć niczego się nie nauczę, więc szkoda pisać tekstu. Zaapeluję do wszystkich Smithów, żeby mnie wysłuchali i złożyli się na fortunę jednego z nich. Ja chcę być wybrańcem losu i będę nim.

Agent patrzył niepewny.

— Niech pan prędko — mówił dalej Stanny Smith — albo wyrzuci mnie za drzwi, albo podpisze kontrakt — mam dość niezdecydowanych sytuacji.

Od tego dnia Smith co wieczór wygłaszał swą mowę do statysty, grającego rolę dyrektora teatru. Co wieczór prosił wszystkich obecnych Smithów o opiekę, codziennie paradował w jednych jedynych spodniach i swetrze i publiczność go polubiła.

Tę samą mowę wygłaszał przed radjem, potem w dodatku do filmu i dziś ma majątek. Mówią, że jest wyjątkiem, bo nie wymyśliwszy doszedł do pieniędzy.

Nieprawda — wymyślił. Wymyślił sposób trafienia do publiczności, zagrał na snobizmie rodowym Smithów i postawił na głupotę widzów.

Aby mieć pieniądze trzeba koniecznie coś wymyślić, albo patefon albo żarówkę, albo nowy sposób oglupiania tłumu.

Przekład autoryzowany G. S...a



K r a s i n

Lodołamacz

Zagadnienie drogi morskiej z zachodniej Europy na wschód Azji, poprzez ocean Lodowaty, od wieków zajmowało umysły najmędrzejszych ludzi i najdzielniejszych marynarzy.

Takie nazwiska jak Bering, Barrow, Siedow, Wittney, Cluze, Koldewey, Wrangel, Weyprecht, Nares, Nordenskiöld, Nansen, Peary i wielu, wielu innych, z których niejeden śmierć znalazł w lodowej pustyni, są chlubą ludzkości.

Bohaterów pól lodowych, oprócz żądz odkryć i sławy, gnano na tajemniczą północ również i czysto praktyczne i realne zrozumienie potrzeby wytknię-

cia najkrótszej drogi morskiej z Atlantyku na Pacyfik.

Rzut oka na mapę północnej części globu ziemskiego (rys. 1) konkretnie przedstawia doniosłość tej linii komunikacyjnej. Mianowicie, jeżeli weźmiemy dla przykładu odległość między *Londynem* (na rys. biały krzyżyk na zerowym południku grynickim) i *Tokio* (na rys. biały krzyżyk około 140-go południka wschodniej długości), to wyniesie ona wzdłuż 0-ego południka poprzez Atlantyck i ocean Lodowaty następnie wzdłuż 170-go południka zachodniej długości (na rys. kierunek tego południka jest

oznaczony strzałką u zwrotnika) t. j. przez cieśninę Beringa i wreszcie obok Kameczatki i wysp Kurylskich w okrągłych liczbach 10.000 km. Odległość między temi samemi ośrodkami ekonomiczno-politycznemi zachodu i wschodu, przez kontynenty Europy i Azji w t. zw. linii powietrznej, biorąc pod uwagę krzywiznę ziemi, wyniesie 10.200 km. Droga z Londynu do Tokio przez morze Śródziemne, Suez i wokół Azji wynosi 20.000 km, a przez Atlantyk, kanał Panamski i Pacyfik 20.500 km. Liczby te wyraźnie wskazują, że ze względów ekonomicznych i strategicznych trzeba torować najkrótszą drogę przez Ocean Lodowaty.

Ocean ten jednak zamarza zależnie od szerokości na okres od 2 do 9 miesięcy, w dodatku w swej trzymiesięcznej „porze letniej“ też nie jest wolny od lodów. Wśród tych lodów normalnie zbudowane okręty, czy to handlowe czy nawet opancerzone wojenne, kursować nie mogą, a służbę łączności, t. j. komunikacyjną mogą wyłącznie pełnić okręty o odrębnej konstrukcji kadłuba, torujące sobie drogę przez lody, a zwane *lodolamaczami*.

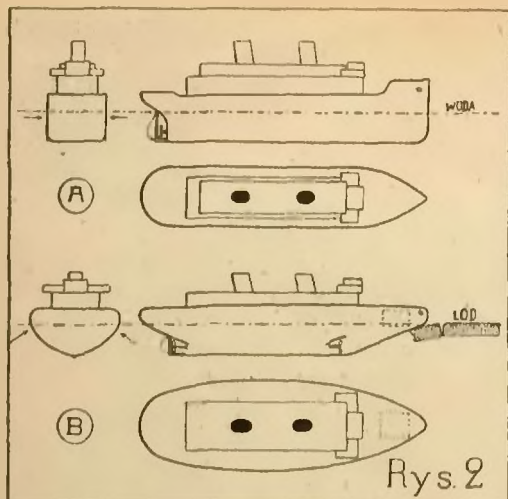
Na szematycznym rys. 2, widzimy u góry pod lit. A bok, przekrój i plan normalnego okrętu: przednia stewa — pionowa, kil (stęпка — najniższy krańiec dna) — poziomy, tylna stewa stromo pod rufą pionuje do kilu, na przekroju zaś widać, że i burtę jego są prostopadle; taki okręt o najsilniejszych nawet maszynach i grubo opancerzonej dziobnicy „krając“ lodu nie jest w stanie, gdyż, mając rzut poziomy w kształcie cygara, działa jak klin a nie mogąc rozepchnąć skrzepniętych pól lodowych kilkunasto-kilometrowej szerokości, sam jest narażony na zgniecenie, lód bowiem, ściskając kadłub prostopadle do burt (kierunki strzałek na przekroju), zgina je jak i poprzeczne więzania (bimsy) i okręt musi zatonąć. Nieudany dyktancki sowiecki eksperyment ze statkiem „Czeluskin“ o takiej właśnie budowie nie był dla fachowców niespodzianką.

Dół, rys. 2 pod lit. B przedstawia

bok, przekrój i plan lodolamacza: krótka przednia stewa nie dosięga powierzchni wody (lodu), przednia trzecia część kilu, zadarta nad powierzchnią wody, łączy się z przednią stewą, tylna stewa głęboko wrysowuje się pod rufę, ochraniając ster i śruby okrętowe. Jak widać z przekroju burtę lodolamacza mają taką krzywiznę, że lód ściskając okręt, działa początkowo w kierunkach poziomych, następnie jednak ześlizguje się po krzywych skosach burt i, ustawiając się ostatecznie prostopadle do ich krzywizn (kierunki strzałek na przekroju), usiłuje dźwignąć okręt w górę (czasem na dwa metry wysoko); wkońcu jednak okręt swym ciężarem kruszy krawce lodu wzdłuż burt i osiada znowu na wodzie, nie ulegając zgnieceniu. Poziomy rzut lodolamacza, przypominający owal jajka, nie ma prostych wzdłużnic hurtowych, dzięki czemu rufa jego nigdy nie może być uwięziona w lodach (zatrzeć się).

Śruby okrętowe i ster lodolamacza umieszcza się niżej dolnej płaszczyzny najgrubszego lodu (pod przykryciem wypukłości burt i rufy) i dlatego są one zawsze w stanie pełnej sprawności; natomiast statki handlowe przy pierwszym zetknięciu z lodami tracą odrazu te części napędne i kierunkowe wskutek wysokiego ich umieszczenia.





Burty handlowego statku są obite blachą około 10 mm grubości i mają żebra (szpangonty), wytrzymujące tylko napór wody i uderzenie fali podczas burzy; lodolamacz zaś ma dziobnicę, rufę, a nawet pas na linii wody opancerzone do 50 mm grubości, wszystkie jego wiązania są zmontowane ze stalowych kształtowników, obliczonych na parcie lodu, a pokład jego wzdłuż głównej osi ma charakter lekkiego sklepienia.

Praca lodolamacza polega na tem, że podniesioną swą dziobnicą włazi na lód, odlamując swym ciężarem ogromne kry, które skruszone, są następnie, dzięki jądowatemu dnu okrętu i rozwarciu jego krzywych burt, wtlaczane pod nieprzełamany lód po bokach tworzonego w lodzie kanału, przez który lodolamacz holuje za sobą na stalowych linach 5—6 handlowych lub transportowych, a nawet wojennych okrętów. Huk i trzask rozlega się wtedy po zamrożonym morzu na parę mil wokoło.

Jeżeli lodolamacz wlezie dziobem na zbyt grubo lód, którego nie może przełamać normalnie, wówczas napełnia się wodą specjalne komory - cysterny (na rys. linja kropkowana), znajdujące się w dziobowej części okrętu, i tym zwiększonym ciężarem przełamuje się lód. Robota idzie jednak wtedy bardzo wolno, gdyż stale trzeba wodę napompowy-

wać, po przełamaniu lodu znowu odpompowywać z balastowych cystern, by opuszczoną dziobnicę podnieść nad poziom lodu, cofać się, brać rozpęd, wpełzać na lód i ponownie napełniać cysterny. Podczas takiej roboty lodolamacz już nie może jednocześnie holować, a tylko przygotowuje kanał wśród grubego lodu, by następnie przeciągnąć przezeń handlowe statki.

Praca ta odbywa się podczas najcięższych mrozów, dochodzących do 50°C, często przy sztormującym wietrze, który rzuca kawałami lodu i zmarzniętego śniegu, a co najgorsze, bryzga wydobywającą się spod lodu wodę, zamarzającą na ludziach, co pozbawia ich możliwości ruchów. Cały okręt obmarza wtedy grubo lodem, który trzeba odbijać.

Czasami jednak praca na lodolamaczu bywa jeszcze cięższa, mianowicie, jeżeli uprzednio burza spiętrzy lód na pewnej przestrzeni oceanu, ustawiając olbrzymie kry, które wielki mróz zetnie w jedną malowniczą ale nieprzebytą zaporę. Gdy lodolamacz nie może już przegnieść lodu swym ciężarem, wówczas wysiada na lód oddział minerów, który szeregiem wybuchów (fugasów) rozsadza lód, i w ten sposób wśród jego złomów i zwalów toruje swemu okrętowi drogę, będąc pod ustawiczną grozą zapadnięcia się bez ratunku w szczelinę lodową.

Protoplastą lodolamaczy był statek Nansena „Fram“, który, acz drewniany i lodu łamać nie mógł, miał jednak burtę o racjonalnych krzywiznach i dlatego lody w ciągu dwóch zim polarnych (1893—1895) nie zgnioty go, a tylko wypiętrzały.

Pierwszym lodolamaczem w pełnem tego słowa znaczeniu był „Jermak“, skonstruowany przez admirała Makarowa i zbudowany na stoczniach Petersburga (1903), a przeznaczony do stałych rejsów między Kronsztadtem i portem Artura przez Ocean Lodowaty. Jednak wojna japońska i bohaterka śmierć admirała Makarowa przerwały to śmiałe przedsięwzięcie.

Wielkie lodolamace dochodzą do 8.000 tonn wyporności, mając długość

do 120 m, szerokość do 24 m, zanurzenie do 8 m, maszyny o sile 12.000 KM. i łamią lód 4-metrowej grubości z szybkością 8 mil morskich na godzinę (ok. 15 km).

Najnowsze typy lodolamaczy mają po cztery śruby okrętowe tylne i przednie, umieszczone w specjalnych półtunelach-buchtach, co daje im możliwość ruchów poprzecznych równoległe z burtami, na przykład w wypadku potrzeby poszerzania kanału lodowego.

Największy lodolamacz rosyjski w lodach Białego Morza czasu wielkiej wojny był „Światogor“, przemianowany później przez bolszewików na „Krasin“. Tej samej klasy są „Aleksander Newski“, obecnie „Malygin“ i „Kanada“. Wszystkie one były zbudowane dla Rosji w Ameryce podczas wojny światowej. Przy ich pomocy oraz trzech nieco mniejszych, klasy „Hja Muromiec“ (wypór ok. 4.000 tonn), w ciągu trzech zim 1916 — 17 i 18 była utrzymywana nawigacja przez ocean Lodowaty i Białe morze między Nordeap i Archangielskiem, jedynym niezablokowanym przez Niemców portem rosyjskim. Były one wtedy uzbrojone każdy 5-oma działami o kalibrze 150 mm, pełniące jednocześnie służbę pomocniczą kłazowników.

Poza Rosją, w której lodolamacze stale pracowały w zatokach Fińskiej i Ryskiej morza Bałtyckiego, dużemi lodolamaczami posilkuje się Kanada Am. Pół. w zatoce św. Wawrzyńca. Lodolamacze małe t. zw. portowe o wyporności do 1000 tonn mają Szwecja i Finlandja, a powinny je posiadać wszystkie dobrze urządzone porty Bałtyku, by przeprowadzać statki handlowe podczas zimy przez małe zamarzające zatoki, na przykład Gdańską na otwarte niezamarznięte morze.

Podczas srogiej zimy 1928 — 29 rosyjskie lodolamacze musiały ratować statki handlowe na Bałtyku i w Duńskich przepływach, zaś „Krasin“ latem 1928 roku wyratował włoską polarną ekspedycję sterowcową generała Nobile w lodach powyżej Szpiebergenu.

Inż. A. Pauly



Kapelusze-pilśniowe

Miodkowski

PI. 3 KRZYŻY 18.
MARSZAŁKOWSKA 92.





Ryc. 1. Nos krzywy



Ryc. 2. Po usunięciu zniekształcenia (Dr. M.—G.)

Chirurgja plastyczna

Najmłodszą z wszystkich dziedzin współczesnej chirurgji jest chirurgja plastyczna, t. j. sztuka usuwania różnorodnych zniekształceń ciała ludzkiego i przywracania mu kształtów normalnych zapomocą zabiegów chirurgicznych. Chirurgja plastyczna odrodziła się głównie podczas wojny światowej, która niestety dostarczyła tak ogromnej liczby oszpeconych i zniekształconych, że wiedza lekarska musiała z konieczności ulepszać stare metody operacyjne i szukać nowych, aby tysiącom nieszczęśliwych umożliwić egzystencję.

Nowa specjalność chirurgiczna dzieli się na: chirurgję wytwórczą lub odnawiającą, która zajmuje się usuwaniem defektów lub braków wrodzonych, (jak n. p. zajęczych warg) bądź nabytych lub spowodowanych chorobami — jak przymiotem i gruźlicą, bądź powstałych wskutek nieszczęśliwych wypadków okaleczeń i oparzeń — wreszcie defektów, pozostałych po operacyjnem usunięciu nowotworów złośliwych, rakowatych i innych — i chirurgję kosmetyczną lub estetyczną, która zajmuje się na-

prawianiem zniekształceń wrodzonych, jak niekształtnych nosów (nosy krzywe, szerokie, guzowate, siodełkowate), odstających uszu lub zniekształceń, spowodowanych dyspozycją chorobową lub wiekiem, jak n. p. zmarszczek i fałdów twarzy, obwisłych policzków, podbródków, zniekształconych biustów.

Chirurgja plastyczna rozwinęła się, poza doświadczeniami zebranemi podczas wojny światowej, dzięki badaniom naukowym wybitnych lekarzy, jak Morestin'a i Schileau'a we Francji, Lexer'a i Josepha w Niemczech, Sheehan'a w Ameryce i wielu innych.

Posługuje się ona w głównych zarysach temi samemi sposobami technicznemi jak chirurgja ogólna, zastosowując ją odpowiednio do swoich celów.

Zamiast narkozy rzadko stosowanej, używa się zwykle znieczulenia miejscowego, które wystarcza do zabiegów plastycznych i nie naraża pacjenta na niebezpieczeństwa, związane ze znieczuleniem ogólnem. Nacięcia są zredukowane do rozmiarów najmniejszych i zwykle ukryte, o ile możliwości, w fałdach

nuje wśród ludności abisyńskiej spowodu „świętej wojny“ z białymi, zdarzają się wypadki, że całe osady, których mieszkańcy sprzyjają Włochom, uchylają się od spełnienia obowiązku wobec ojczyzny. Wobec tych opornych stosuje się „ochotniczy“ zaciąg do wojska. Zaciąg ten odbywa się w ten sposób, że naczelnicy okręgów otaczają wieś wojskiem i wszystkich, którzy są zdolni do noszenia broni, skuwają po dwóch łańcuchami za nogi i pędzą na punkta zbrojne.

Jak wszędzie na świecie, również w społeczeństwie abisyńskim spotyka się „parszywe owce“. W Abisynji kwitnie szpiegostwo na rzecz Włochów, szczególnie w prowincji Tigre. Ze szpiegami wojownicy negusa nie czynią żadnych ceremonij i rozprawiają się z nimi bez sądów. Przylapany na szpiegostwie bywa ćwiczony na publicznych placach do krwi, następnie na pół martwego, posiekanego pozostawia się na placu, dopóki z upływu krwi lub gangreny nie zakończy życia. Delikwentowi nie wolno podać kropli wody, gdyż litościwy człowiek, któryby to uczynił naraża się na tę samą karę. Walęsujące

się i szukające żeru hieny i bezdomne psy, skracają nęki nieszczęśliwemu. Szpieczy, ktorcmi Abisyńczycy dekorują drzewa, nie długo straszą przechodniów. Zalatwiają się z nimi dość szybko milany, podobne do naszych jastrzębi.

W tych warunkach podatne pole do działania mają osobiste zawiści i porachunki. Denuncjacja rozpanoszyła się ogromnie. Wystarczy zameldować w komisarjacie, że ktoś donosi o czemś Włochom, aby oskarżony bez sądu został postawiony przed rurę śmierci, to jest wydrążony pień, oparty na dwóch palach, metrowej wysokości; u jednego wylotu whity jest słupek, do którego przywiązuje się delikwenta i aby nie marnować naboju, które wystrzelone ze starych strzelb nie zawsze trafiają, celuje się przez rurę.

Abisynja jest krajem przeciwieństw i przesądów. Zachowała na wielu odcinkach jeszcze urok egzotycznego Wschodu, nieczystsutego prymitywu, ale na innych znać już ślady cywilizacji, lecz nie kultury. Obecnie robi skok w nieznane. Losy jej rozstrzygnie najbliższa przyszłość.

Emil Theobald

Władca Etyopji udaje się na przegląd wojsk



Floko

Z WALLSTREET



Po załadowaniu przyciężkich a mocno strzeżonych beczulek w Mihri i po ominięciu Grecji, krążownik obrał kurs Kolumba. Duma jego była zadraśnięta: użyto go, jako zwykłego kupca. Zawadził o Gibraltar, gdzie z trampa nasypał sobie węgla, nie tylko do bunkrów lecz i na pokład. Nabierał sił, aby wyprężyć się do wielkiego skoku.

Wreszcie płuca załogi zaczęły wchłaniać świeży powiew przestworzy nadatlantyckich. Wiedzano już, że port przyścia będzie należał do bankiera świata — Wuję Sama, który za ukrywane grzeczności zbierał złoto w Europie. Honor był zwrócony: nie każdy wozi taki ładunek.

Komora dla zapalników, a obecnie skarbiec okrętowy, był strzeżony jak oko w głowie. Dyżury, roudy. Warta znudzona, znudzona bujaniem się na fali, zasypiała czasem, a potem siedziała, ale już w areszcie okrętowym.

— Nu jakże? — zagadnął ze swego prezesowskiego miejsca w mesie zastępca-Teodul — napatrzyliście się ognistych Hiszpanek? Teraz conajmniej dni dwanaście nie ujrzycie płci pięknej!

— Przecież nie było zwolnienia na ląd — skarżył się oficer nawigacyjny. — Dwa tygodnie temu widziałem kozy na Linnosie. Licho nadało! Nie uznaję miłości nienamacalnej.

A ot u pewnej osoby zauważono w kabinie grzebień, wysadzany barwnymi szkiełkami, czego nie było przed Gibraltarem — ogłosił złośliwie etatowy plotkarz mesy, starszy lekarz. — Takiej ozdoby fryzury nie zlekceważy najognistsza gitana.

Jak Boga prawdziwego obrządku w sercu nosząc, kupilem jako pamiątkę u handlarza na pokładzie — niepotrzebnie wyrwała się z wyjaśnieniem osoba duchowna. — Trzebaż było wspomóc biedaka.

Zdaje się, że bacia zamierza na tańtej stronie Wielkiej Wody kosztem tego grzebieńa wspomóc jakąś biedaczkę — dociał mechanik.

Ten luterski poganin ma zawsze dowcip zwilżony przegrzaną parą. Sensu mało, a smrodu dużo — odciał się rozgniewany pop.

— Ot, znów klóć się na tematy wyznaniowe — przerwał zatarg jeszcze przytomny Teodul — wypijmy lepiej pod kwaśny kapuśniak...

Krażownik zmagał już mętne wody Hudsonu. Pół tuzina szybkobieżnych kutrów straży celnej eskortowało go do „Black Tom’a”, wielkiego moła przeładunków wojennych.

Pluton samochodów osobowych, druzyna ciężarowych, chmara motocykli, a do tego odpowiednia liczba kwadratowych twarzy, przeżuwiających gumę i spluwających tak elegancko i celnie, że aż samego bosmana zatkało, szybko załatwiła się z wyładunkiem cennych beczulek. „Colty” przyczepione rzemyskami do lydek nie miały w tym dniu popytu. Podaż gangsterów była wtedy znikoma.

Okręt miał pozostać w porcie dwadzieścia cztery godziny. Oficer nawigacyjny, amator namacalności, uzyskał u dowódcy zezwolenie na natychmiastowe opuszczenie pokładu dla krajoznawczego zwiedzenia Nowego Jorku. Schodząc z trapu wiedział tylko, że ulice są numerowane od środkowej w kierunku wschodnim i zachodnim. Obiły mu się o uszy takie nazwy jak Broadway i Wallstreet. Z pewną ilością wyceganionych u płatnika dolarów i marynarską znajomością angielszczyzny wyruszył na podbój Nowego Świata, a właściwie jego pleci pięknej. Nie zwierzył się z tem jednak nikomu; nawet szoferowi taksówki. Ot, zwykła nieszczerłość nadbałtycka.

Ledwo zdążył szofer pozbyć się swego niezdecydowanego pasażera na jednym z rogów Wallstreet, gdy jakaś szykowna blondyna o kształtach Mae West wyraźnie zrobiła oko do niego. Nawigator poczuł się, jakgdyby po długiej podróży we mgle rozpoznał migania znajomej boi wejściowej. Natychmiast ustalił kurs — szyk torowy za boską nowojorcanką. Szedł, skręcał naprawo, zawracał nalewo, zupełnie stracił orientację, ale ponętny uśmiech rozkosznej uwodzicielki, rzadka odwa-

cającej się, służył mu za gwiazdę przewodnią.

Nareszcie wybujały gmach, okazały hall i marmurowe schody. Marmur niekoniecznie prawdziwy.

— Tom dobrze trafił — wypinał piersi rozzuchwalony powodzeniem.

Jedno piętro, drugie piętro, trzecie. Idąc schodami był zachwycony, że przewodniczka nie użyła windy.

Nieznamoma otwiera drzwi kluczem i nie domyka ich. Rozkochany nawigator, który nareszcie osiągnął w wyobraźni cel wędrówki, bez zastanowienia wślizguje się w pełne obietnic podwoje. Za przedpokojem wspaniała bawialnia. Uśmiechając się przymilnie, siedząca po drugiej stronie różanego biurka, gospodyni odkłada słuchawkę telefonu i zapytuje:

— W jakim właściwie interesie przybył pan do mego mieszkania?

Wylewny nawigator stara się w przydługich zdaniach, całkiem niekonradowską angielszczyzną objaśnić ten *coup de foudre*, który kierował jego ruchami od chwili zoczenia tak ponętnej i powabnej przedstawicielki pleci słabej.

— Drogi pan jest niezaprzeczalnie krasomówcą, ale zwyczajem mego kraju *business is business!* Co pan ma przy sobie?

Zaskoczony taką szybką materjaliza-



cją ducha, poszukiwacz przygód wy-
ciągnął portfel i pokazał jego zawartość.

— Co! Jedna setka dolarów? I pan
z tem wyrusza w takie kwatery? Po-
każ-no pan na wszelki wypadek ten pa-
pierek, czy nie jest przypadkiem fał-
szywy...

Nawigator był z domu przyzwyczajony
do posłuchu...

Wtem w przedsionku różnęło się
chrząkanie i władczy stuk w drzwi.

— *Come in!* — zawołała blondyna
z nutą wyzwolenia.

Okazały Pat O'Finnigan z komisarja-
tu 92 policji municypalnej wkroczył
godnie.

— Czy ptaszek jeszcze nie odleciał?

— Gdzież tam! Natręt, jakich mało,
do tego jeszcze obcokrajowice.

Temat rozmowy nie zdążył zorjentowa-
wać go, gdy błyskawicznie został po-
stawiony na nogi, obrócony o 180° i wy-
party do przedpokoju. Zauważył tylko,
że nieosiągalną piękność wsunęła kształt-
ną rączkę w ogromną łapę Pata, która
zwarła się z wyraźnym szelestem.

— Zadzwoń do pani z komisariatu
o godzinie rozprawy — zapewnił z u-
śmiechem od ucha do ucha stróż enoty.

O godzinie osiemnastej makler zawi-
domił dowódcę krążownika, że jeden
z jego oficerów znajduje się pod cięż-
kim zarzutem w areszcie komisariatu
92 i żeby nie dopuszczać wtrącania się
konsula. Lepiej posłać kogoś upoważ-
nionego dla wykupienia delikwenta.
Rozprawa o 19-cj.

— To gamoń jakiś ze śmigłem!...
Czyżby nawigator? A to niemrawy bał-
tyczyk!

Zawołano adjutanta, zaopatrzone go
w gotówkę, posadzono do taksówki
i kazano ratować.

— Za narażenie godności własnej
w miejscu publicznem — 20 dolarów,
za prześladowanie bezbronnych i nie-
pełnoletnich (data urodzenia blondyn-
ki nie została sprecyzowana) — 30 do-
larów, za włamanie do cudzego mieszka-

nia i zohydzenie ogniska domowego —
50 dolarów. Wreszcie — za opór oka-
zany przedstawicielowi władzy (Pat
stwierdził przypadkowo, że portfel na-
wigatora był pusty) w czasie pełnienia
obowiązków — 25 dolarów. Razem 125
dolarów — wygłosił sędzia dzienny,
śpiesząc zdać obowiązki swemu nocne-
mu koledze. — Czy wystarczy panu go-
tówki? —

— Jeśli ta pani zwróci mi moje 100
dolarów, to tak — próbował wyjąkać
biedny nawigator — jeszcze mam zło-
te sztuki.

— Co za beczelność! Miałabym coś
brać od tej kreatury!

— Przecież policeman widział? —
bronił się jeszcze oskarżony.

Ale Pat O'Finnigan stwierdził i obie-
cał przysiąc, że przeciwnie, gdy weh-
dził widział, że lady trzymała w rę-
ku gruby banknot, który prawdopo-
dobnie miał ją uwolnić od natręta z pu-
stym portfelem.

Niefortunne dziecko morza zbladło:
przeliczą te kanciaste twarze 125 do-
larów na dni aresztu i zaginie czło-
wiek marnie w lochach jakiegoś Sing-
Singu...

Adjutant zjawił się na pięć minut
przed zapadnięciem decyzji. Ze wzglę-
du na to, że delikwent zobowiązał się
opuścić granice stanu w przeciągu kil-
ku godzin, sędzia zgodził się ograniczyć
tenor wyroku wyłącznie do kary pie-
niężnej.

— Aleś się zabawił — pokpiwał adju-
tant — dwumiesięczna gaża z naddat-
kami poszła!

— Pal ją sześć! Ale błagam cię, opo-
wiadaj o włamaniu do sklepu z biżu-
terją, lecz nie zdradzaj, że baba tak
mnie sromotnie okpiła.

Adjutant był dobrym kolegą — mesa-
musiała zadowolić się opowiadaniem
o jakiejś bardzo zagmatwanej przygo-
dzie w pokątnym domu gry. Pozory
wdzięku nieodpartej ciężżyny marynar-
skiej pozostały zachowane.

Brunon Dzimicz